



 Spis treści

<i>W zakrystii</i>	1
<i>Felieton Agaty Tomaszewskiej-Antoniewicz</i>	2
Słowo Boże	3
Po co mi Kościół? – <i>Ks. Bartosz Skawiński</i>	4
Być może każdy szuka czego innego – <i>Zaneta Semprich-Forowicz</i>	6
Bliski Bóg – <i>Rozmowa Agaty Dąbrowskiej</i> z <i>ks. Witoldem Janochą</i>	7
Wędrówka szlakiem Prawdziwej Miłości – <i>Maria Walter-Kochel</i>	10
Kalendarium Parafialne	11
Z ziemi włoskiej do Polski – <i>Daniel Wolborski, Piotr Radkiewicz</i>	12
W Ogrodzie wspomnień (51) – <i>kolejna opowieść Aldony Kraus</i>	14
Komorów od kuchni – Coś pięknego dla ludzi. W domu Lidii i Andrzeja Pilichów – <i>Urszula Imienińska</i>	17
Trzeba mieć wiarę – <i>Wojciech Irmiński</i>	24
Przedwiośnie – <i>Agata Tomaszewska-Antoniewicz</i> z cyklu „ <i>Moje dzieci – gawędy mamy</i> ”	28
Kronika parafialna	28
Sami o sobie – Wolny głos młodzieży Komorowa	29
Okładka – rys. Aleksandra Filimon	



*Idźcie więc i
nauczajcie
wszystkie narody,
udzielając im
chrztu... Uczcie je
zachowywać
wszystko, co wam
przekazałem.*

Mt 28,18-20

W zakrystii

To znane słowa Pana Jezusa z tzw. nakazu misyjnego. Były skierowane do apostołów, ale również dotyczą powołania każdego chrześcijanina, a zwłaszcza osób konsekrowanych. Chrzt i te słowa zobowiązują do głoszenia Chrystusa – a szczególnie przez pryzmat własnego życia. To nazywa się budowaniem Kościoła Chrystusowego. Każda rodzina jest małym Kościołem, a te małe Kościoły składają się na Kościół powszechny. Papież ma obowiązek upominania się o miejsce dla Chrystusa w Kościele powszechnym, biskupi – w kościołach lokalnych, księża – w poszczególnych parafiach, do których zostali posłani, rodzice – w swoich rodzinach. Św. Paweł pisał kiedyś do swojego przyjaciela Tymoteusza: „Głoś naukę, nastawaj w porę i nie w porę” (2 Tym 4,2). Takie słowa motywowały kiedyś biskupa Efezu do gorliwości o swój kościół, takie słowa mają i nas motywować o kościół, jakim jest rodzina, parafia, diecezja... Mamy zawsze przypominać, każdy na swoim stanowisku, że sercem tego kościoła jest Chrystus. On jest fundamentem, na którym opiera się cała „budowla”.

Za nami już Wielki Post. On zawsze nastrojał do rachunku sumienia. Jak został wykorzystany, to już każdy z nas może sobie odpowiedzieć. Przygotowywał nas do największych świąt chrześcijańskich – Zmartwychwstania Chrystusa. Jeżeli Chrystus Pan został zaproszony do serca człowieka w małżeństwie, w rodzinie, w parafii, to On nie pozwoli, aby „mały” czy „większy” kościół uległ zniszczeniu. „Ja Jestem z wami (z Tobą!) przez wszystkie dni aż do skończenia świata” (Mt 28,20). Przykładem takiej wspólnoty, która potrafiła pokonywać różne przeszkody, są nasi czcigodni jubileci, którzy w drugi dzień dzień Świąt Wielkanocy dziękują



ISSN 1505-9839

Numer 1 (134), 23 kwietnia 2017 r.

Wydawca: Parafia Narodzenia NMP w Komorowie;
05-806 Komorów, ul. 3-go Maja 9, tel. (22) 758 06 15

Mail: redakcja@magazynparafialny.org, www.magazynparafialny.org

Kolegium Magazynu Parafialnego: **ks. Bartosz Skawiński** – asystent kościelny,
Izabela Sobolewska – sekretarz redakcji, Agata Tomaszewska-Antoniewicz, Anna
Bąkowska, Agata Dąbrowska, Małgorzata Goławska, Urszula Imienińska, Małgorzata
Rudzińska, Maciej Sabała

Copyright © Zdjęcia i teksty stanowią własność MP oraz autorów, są chronione prawem.



Bogu za 25-, 40-, 50- i 60-lecie swego małżeństwa. Oni znają historię swojego życia, wiedzą, że nie zawsze było różowo.

Również dla mnie ten rok jest rokiem szczególnym – jubileuszowym. Nie tylko z tej racji, że połowę kapłaństwa przeżyłem w komorowskiej parafii (od 1996), ale również i z tej racji, że na początku czerwca będę dziękował Bogu za 40 lat kapłaństwa. Zostałem powołany i posłany, aby nauczać, chcieć prowadzić do Chrystusa – budować Kościół Chrystusowy, również w tej parafii. Nie zawsze było łatwo i przyjemnie. 5 czerwca 1977 r. w katedrze warszawskiej Stefan Kardynał Wyszyński wyświęcił 29 diakonów naszego seminarium na kapłanów. Już po Mszy Świętej, w zakrystii, kiedy szykowaliśmy się do wspólnego pamiątkowego zdjęcia, powiedział do nas: „Trzymajcie się Maryi, Ona was ustrzeże”. I rzeczywiście: nikt z naszego rocznika nie porzucił kapłaństwa, ośmiu już zmarło, a pozostali budują Kościół Chrystusowy tam, gdzie ich posłał biskup. Jakie jest to budowanie? To wie tylko Chrystus i wspólnota parafialna. „Poznacie ich po ich owocach” (Mt 12,33).

Każdy z nas może mieć taki czy podobny jubileusz. Zmusza on zawsze do oceny swego życia, czy było ono użyteczne dla drugiego człowieka. Kiedyś, kiedy staniami przed Stwórcą, będziemy sądzeni właśnie z tej użyteczności. „Cokolwiek uczyniłeś temu najmniejszemu, to mnie to uczyniłeś” (Mt 25,21n).

Przed nami Święta Wielkanocne. Zmartwychwstały Chrystus napelnia nas radością i nadzieją. Jeszcze wszystko przed nami. Możemy jeszcze wiele zmienić na lepsze w naszym życiu i w życiu bliskich nam osób. On nam błogosławi i wspomaga, abyśmy z Jego pomocą budowali ten „mały” i ten „większy” kościół. Na ten czas radosnego budowania Kościoła Chrystusowego składam całej rodzinie parafialnej najlepsze życzenia świąteczne: ufności w Bożą pomoc, radości ze spotkań rodzinnych i przyjacielskich, spokojnych, dobrych świąt.

Ks. prałat Andrzej Perdzyński
Proboszcz



«Jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, daremna jest wasza wiara i dotąd pozostajecie w grzechach. Tak więc i ci, co pomarli w Chrystusie poszli na zatracenie.»

(1 Kor 15,17-18)

Wielki Post w życiu każdego człowieka może być porównany do okresu przedwiośnia. Po martwej zimie wszystko budzi się do życia.

Przed Wielkim Postem panował okres przedpościa zwanego siedemdziesiątnicą. Potem następował Wielki Post a po nim Wielkanoc – zwycięstwo życia nad śmiercią. Po raz pierwszy śmierć nie była końcem a stała się początkiem. Wyzwolenie człowieka z grzechów zależało nie tylko od męczeńskiej śmierci Jezusa. Zależało od Jego Zmartwychwstania. Ludzie zostali wybawieni z grzechów. Wierzący wiedzą, że Chrystusa można spotkać wszędzie: w drugim czło-

wieku, w sakramencie pojednania, w małej, wiejskiej kapliczce i wielkiej bazylice. Zmartwychwstały Jezus jest z nami każdego dnia, udziela łaski, wspiera, uwalnia od grzechów, pomaga nieść krzyż.

«Jak w Adamie wszyscy umierają tak też w Chrystusie wszyscy będą ożywieni.» Bo Chrystus jest życiem bez końca. Niech napelni pokojem nasze serca.

Wystarczy uwierzyć i ufać.

AGATA TOMASZEWSKA-
-ANTONIEWICZ





Słowo Boże

SŁOWO BOŻE

16 IV Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego	Dz 10,34.37-43 Ps 118 Kol 3,1-4 Kor 5,6-8 J 20,1-9	<i>Nadszedł potem także Szymon Piotr, idący za nim. Wszedł on do wnętrza grobu i ujrzał leżące płótna oraz chustę, która była na Jego głowie, leżącą nie razem z płótnami, ale oddzielnie zwiniętą w jednym miejscu. Wtedy wszedł do wnętrza także i ów drugi uczeń, który przybył pierwszy do grobu. Ujrzał i uwierzył.</i>
17 IV Poniedziałek Wielkanocny	Dz 2,14.22-33 Ps 16 Mt 28,8-15	<i>A oto Jezus stanął przed nimi i rzekł: „Witajcie”. One zbliżyły się do Niego, objęły Go za nogi i oddały Mu pokłon. A Jezus rzekł do nich: „Nie bójcie się. Idźcie i oznajmijcie moim braciom: niech idą do Galilei, tam Mnie zobaczą”.</i>
23 IV Niedziela Miłosierdzia Bożego	Dz 2,42-47 Ps 118 1P 1,3-9 J 20,19-31	<i>On w swoim wielkim miłosierdziu przez powstanie z martwych Jezusa Chrystusa na nowo zrodził nas do żywej nadziei: do dziedzictwa niezniszczalnego i niepokalanego, i niewiednającego, które jest zachowane dla was w niebie. Wy bowiem jesteście przez wiarę strzeżeni mocą Bożą dla zbawienia, gotowego objawić się w czasie ostatecznym.</i>
24 IV Uroczystość Św. Wojciecha biskupa i męczennika, głównego patrona Polski *)	Dz 1,3-8 Ps 126 Flp 1,20-30 J 12,24-26	<i>Ten, kto miłuje swoje życie, traci je, a kto nienawidzi swego życia na tym świecie, zachowa je na życie wieczne.</i>
30 IV III Niedziela Wielkanocna	Dz 2,14.22-33 Ps 16 1P 1,17-21 Łk 24,13-35	<i>Na to On rzekł do nich: „O, nierozumni, jak nieskóre są wasze serca do wierzenia we wszystko, co powiedzieli prorocy! Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swej chwały?” I zaczynając od Mojżesza, poprzez wszystkich proroków, wykladał im, co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego.</i>
3 V NMP Królowej Polski Święto Konstytucji 3-Maja	Ap 11-19:12,1.3-6 Jdt 13 Kol 1,12-16 J 19,25-27	<i>Kiedy więc Jezus ujrzał Matkę i stojącego obok Niej ucznia, którego miłował, rzekł do Matki: „Niewiasto, oto syn Twój”. Następnie rzekł do ucznia: „Oto Matka twoja”.</i>
7 V IV Niedziela Wielkanocna	Dz 2,14.36-41 Ps 23 1P 2,20-25 J 10,1-10	<i>„Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Ja jestem bramą owiec. Wszyscy, którzy przyszli przede Mną, są złodziejami i rozbójnikami, a nie posłuchali ich owce. Ja jestem bramą. Jeżeli ktoś wejdzie przeze Mnie, będzie zbawiony – wejdzie i wyjdzie, i znajdzie pastwisko, lecz będą uciekać od niego, bo nie znają głosu obcych.</i>
8 V Uroczystość Św. Stanisława, głównego patrona Polski	Dz 20,17-18.28-32.36 Ps 100 Rz 8,31b-39 J 10,11-16	<i>Któż nas może odłączyć od miłości Chrystusowej? Utrapienie, ucisk czy prześladowanie, głód czy nagość, niebezpieczeństwo czy miecz? Jak to jest napisane: „Z powodu Ciebie zabijają nas przez cały dzień, uważają nas za owce przeznaczone na rzeź”.</i>
14 V V Niedziela Wielkanocna	Dz 6,1-7 Ps 33 1P 2,4-9 J 14,1-12	<i>Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Kto we Mnie wierzy, będzie także dokonywał tych dzieł, których Ja dokonuję, a nawet większe od tych uczyni, bo Ja idę do Ojca.</i>
21 V VI Niedziela Wielkanocna	Dz 8,5-8.14-17 Ps 66 1P 3,15-18 J 14,15-21	<i>Kto ma przykazania moje i je zachowuje, ten Mnie miłuje. Kto zaś Mnie miłuje, ten będzie umiłowany przez Ojca mego, a również Ja będę go miłował i objawię mu siebie.</i>
28 V Wniebowstąpienie Pańskie	Dz 1,1-11 Ps 47 Ef 1,17-23 Mt-28,16-20	<i>Po tych słowach uniósł się w ich obecności w górę i obłok zabrał Go im sprzed oczu. Kiedy jeszcze wpatrywali się w Niego, jak wstępował do nieba, przystąpili do nich dwaj mężowie w białych szatach. I rzekli: „Mężowie z Galilei, dlaczego stoicie i wpatrujecie się w niebo? Ten Jezus, wzięty od was do nieba, przyjdzie tak samo, jak widzieliście Go wstępującego do nieba”.</i>
4 VI Niedziela Zesłania Ducha Świętego	Dz 2,1-11 Ps 104 Kor 12,3-7.12-13 J 20,19,-23	<i>A Jezus znowu rzekł do nich: „Pokój wam! Jak Ojciec Mnie posłał, tak i Ja was posyłam”. Po tych słowach tchnął na nich i powiedział im: „Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuscicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane”.</i>

*) przeniesiona z dnia 23 kwietnia



Po co mi Kościół?

To pytanie może padać przy bardzo wielu okazjach. W chwilach kryzysu wiary, zwątpienia, obrażenia się na Pana Boga. Mogą to być sytuacje dużo bardziej prozaiczne – zwykłego lenistwa czy spotkania się z odmową zrobienia czegoś przez księdza, który przecież nie jest właścicielem Kościoła i może działać tylko w granicach swego upoważnienia. Tytułowe pytanie może być też prowokowane przez najbliższych, powątpiewających o sensie istnienia Kościoła, albo i najdalej, których głos dochodzi do nas choćby przez mass media. Jeżeli do tego dodamy różne oskarżenia, że Kościół ze swoimi „magicznymi”, „sztywnymi” obrzędami nic nie przekazuje, moralność chrześcijańska jest niedzisiejsza, a księża są tacy i owacy, to rzeczywiście, wyłania się obraz prowokujący odpowiedź: „Kościół jest mi po nic”. A kiedy udzielę sobie takiej odpowiedzi, to najprościej powiedzieć, że nie ma się nic z Nim wspólnego, do Kościoła się nie chodzi, a kontakt z Panem Bogiem najlepiej odczuwa się wśród ptaszków w lesie. No chyba, że chrzest, I Komunia św., ślub, pogrzeb... Wtedy Kościół po coś jest potrzebny, no bo tak ślub bez całej tej kościelnej otoczki albo pogrzeb świecki? No nie, koniecznie w Kościele, ale te wymagania... Wszystko jak z innej epoki...

I rzeczywiście, Kościół jest po części z innej epoki, nie da się zamknąć w kategoriach tego świata. Przecież w odmawianym wyznaniu wiary („Wierzę w Jednego Boga...”) padają z naszych ust te słowa: „Wierzę w jeden, święty, powszechny i apostołski Kościół”. To nie jest opis socjologiczny. To jest wyznanie wiary, dokonane od razu po uznaniu istnienia Trzeciej Osoby Trójcy Świętej! Dlatego też, żeby odpowiedzieć sobie na tytułowe pytanie, należy zacząć od następującego pytania: A co to jest ten „Kościół”?

A zatem: co to jest Kościół? Słowo „Kościół” (ekklesia, z greckiego

ek-kalein – „wołać poza”) oznacza „zwołanie”. Określa ono zgromadzenie ludu, na ogół o charakterze religijnym. Jest to pojęcie często używane w Starym Testamencie w języku greckim w odniesieniu do zgromadzenia ludu wybranego przed Bogiem. Pierwsza wspólnota tych, którzy uwierzyli w Chrystusa, określając się jako „Kościół”, uznaje się za spadkobierczynię tamtego zgromadzenia. W niej Bóg „zwołuje” swój lud ze wszystkich krańców ziemi. Pojęcie Kyriake, od którego pochodzą Church, Kirche, znaczy: „ta, która należy do Pana” (por. Katechizm Kościoła Katolickiego, 751). Pismo św. na różny sposób opisuje Kościół. W Nowym Testamencie wszystkie te obrazy nabierają nowego znaczenia przez fakt, że Chrystus staje się „Głową” tego Ludu, który jest więc Jego Ciałem (por. Katechizm Kościoła Katolickiego, 753).

Innymi słowy Bóg „zwołuje” swój lud, by dać mu wspólnotę (komunię) z Sobą samym. Zwołuje wokół Swojego Syna, Jezusa, a więc Kościół jest Wspólnotą, której Głową jest Jezus, a my Jego członkami. Dlatego Pan Jezus nadał swojej wspólnotcie strukturę. Przede wszystkim dokonał tego przez wybór Dwunastu z Piotrem jako ich pierwszym z Nich. Dwunastu oraz inni uczniowie uczestniczą w posłaniu Chrystusa, w Jego władzy, a także w Jego losie. Przez wszystkie te działania Chrystus przygotowuje i buduje swój Kościół.

Najważniejszym aktem narodzin Kościoła był całkowity dar Chrystusa dla naszego zbawienia, który wyraził się w ustanowieniu Eucharystii i śmierci na krzyżu. Św. Ambroży tak to porównuje: „Jak Ewa została utworzona z boku śpiącego Adama, tak Kościół narodził się z przebitego serca Chrystusa, który umarł na krzyżu” (por. Katechizm Kościoła Katolickiego, 766).

Innymi słowy Kościół nie został

wyślony przez księży, nie powstał z ludzkiej inicjatywy. Został założony przez i wokół Jezusa. To, co uczniowie głoszą (nauka), co sprawują dla oddania chwały Bogu i własnego uświęcenia (przede wszystkim sakramenty), jak działają (pod kierownictwem Apostołów i ich następców – biskupów) zostało wzięte od Niego – Jezusa. Tak, jak On zostawił to dziedzictwo Apostołom, tak oni swoim uczniom, a oni dalej i dalej, przez pokolenia aż do nas. Na nas się jednak nie skończy. Sobór Watykański II uczy w konstytucji Lumen Gentium: „Kościół osiągnie swoje wypełnienie tylko w chwale nieba”, w chwili chwalebego powrotu Pana. Do tego dnia – jak ujmuje to św. Augustyn – „Kościół kontynuuje swoją pielgrzymkę wśród prześladowań świata i pocieszeń Boga” (por. Katechizm Kościoła Katolickiego, 769).

Z racji na to swoje pochodzenie i swój charakter Kościół jest zatem równocześnie:

- zgromadzeniem widzialnym i wspólnotą duchową;
- społecznością wyposażoną w strukturę hierarchiczną i Mistycznym Ciałem Chrystusa;
- Kościołem ziemskim i Kościołem obdarowanym już dobrami niebieskimi.

Dlatego też w Kościele zawsze będzie obecny Czynniki Boży i czynniki ludzki (por. Katechizm Kościoła Katolickiego, 771).

Z tej przyczyny Kościoła nie można zamknąć do ram tego świata, dlatego zawsze będzie wydawał się, że jest „nie z tej epoki”. Bo jego wymiar duchowy zawsze będzie się wymykał opisowi socjologa, szkieletu i oku empirysty. Ale bez tego wymiaru Kościół byłby tylko „Zrzeszeniem Wyznawców sp. z o.o.”, bez żadnej gwarancji, że to, co Kościół, robi pochodzi od Boga, że prowadzi do zbawienia i że w ogóle ma sens. Tylko patrzenie na Kościół przez pryzmat tego, od Kogo



się wziął i do Kogo się odnosi, gwarantuje prawdziwość patrzenia.

Tym samym Kościół powstał jako wspólnota, Lud Boga, z Jego własnego ustanowienia: „W każdym czasie i w każdym narodzie miły jest Bogu, ktokolwiek się Go lęka i postępuje sprawiedliwie; podobało się jednak Bogu uświęcać i zbawiać ludzi nie pojedynczo, z wykluczeniem wszelkiej wzajemnej między nimi więzi, lecz uczynić z nich lud, który by Go poznawał w prawdzie i zbożnie Mu służył. Przeto wybrał sobie Bóg na lud naród izraelski, z którym zawarł przymierze i który stopniowo pouczał... Wszystko to jednak wydarzyło się jako przygotowanie i jako typ owego przymierza nowego i doskonałego, które miało być zawarte w Chrystusie... Chrystus ustanowił to Nowe Przymierze, to znaczy Nowy Testament, w swojej krwi, powołując spośród Żydów i pogan lud, który nie wedle ciała, lecz dzięki Duchowi zrość się miał w jedno” (Sobór Watykański II, konstytucja *Lumen Gentium*, 9).

Jak pokazują to Ewangelie, od początku Jezus włączył swoich uczniów do swojego życia (por. Mk 1,16-20), objawił im tajemnicę Królestwa (Mt 13,10-17); dał im udział w swoim posłaniu, w swojej radości (Łk 10,17-20) i w swoich cierpieniach (Łk 22,28-30). Jezus mówi o jeszcze głębszej komunii między Nim i tymi, którzy pójdą za Nim: „Wytrwajcie we Mnie, a Ja będę trwał w was... Ja jestem krzewem winnym, wy – latoroślami” (J 15,4-5). Zapowiada także tajemniczą i rzeczywistą komunię między swoim i naszym ciałem: „Kto spożywa moje Ciało i Krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim” (J 6,56). Tym samym opisywana już od dłuższego czasu w tym artykule Wspólnota nie jest tylko grupą sympatyków, kołem przyjaciół. Wręcz przeciwnie: jest czymś tak zintegrowanym, wewnątrznie złączonym ze swoim Mistrzem, a przez to również między sobą, że przypomina ciało albo krzew, a więc organizm połączonych ze sobą komórek.

Tak jak w krzewie gałązki nie mogą utrzymać się przy życiu bez żyjącego pnia, tak samo jest w nami w Kościele. Bez żyjącego Pnia, Jezusa,

nasze życie duchowe zamieniłoby się w śmierć. Dlatego wypada teraz przyrzeć się temu, co sprawia, że tkwimy w tym Pniu i jakie soki ten Pień w nas tłoczy, byśmy żyli, a nie wyschli. Jest to też pytanie o więzi jedności Kościoła. Bo to samo, co daje życie poszczególnym gałązkom, sprawia, że trwają one w jednym pniu.

Jakie są zatem więzy jedności Kościoła? Pismo święte powiada: „Na to wszystko przyobleczcie miłość, która jest więzią doskonałości” (Kol 3,14). To najprostsza odpowiedź, a wyraża się na ziemi także przez widzialne więzy komunii (wspólnoty):

- wyznanie jednej wiary otrzymanej od Apostołów;
- wspólne celebrowanie kultu Bożego, przede wszystkim sakramentów;
- sukcesję apostołską za pośrednictwem sakramentu święceń, która to sukcesja strzeże braterskiej zgody rodziny Bożej (por. Katechizm Kościoła Katolickiego, 815).

Przyjrzyjmy się tym trzem więzom.

Pierwszy to jedna wiara. Trudno jest oczekiwać jedności od podzielonej wspólnoty. Jeżeli w rodzinie istnieją różne poglądy na to, jak należy wyposażyć dom, to albo będzie spór, albo paraliż. Ale nigdy zgodna współpraca. Jeżeli mamy razem, jako jeden lud, wyznawać Boga, to musimy mieć jedno poglądy. To nie my jesteśmy ich źródłem, ale Bóg, który nam o sobie opowiedział przez proroków i świętych, a w najpełniejszy sposób przez Swojego Syna. Można to też pokazać inaczej: skoro Bóg ma pewne cechy i czegoś od nas chce, to istnieje tylko jeden opis tych cech (jedno wyznanie wiary), które jest prawdziwie. Jeżeli ściana jest biała, to tylko opis, że jest biała, ma sens. Wszystkie inne są kłamstwem.

I to właśnie mam dzięki Kościołowi. Nie błędzę po omacku, nie muszę odkrywać – choć części rzeczy i tak bym nie odkrył, bo Bóg sam musiał o sobie powiedzieć. Ludzki umysł jest za słaby wobec Boga i jego Tajemnicy. Po to mam Kościół, by nie pochodzić po bezdrożach niewiedzy, ale mieć prostą, jasną informację o Bogu,

o mnie w Jego oczach i o moim szczęściu na wieki (zbawieniu).

Drugi to więzy. Wspólne oddawanie czci Bogu jednoczy. Trochę tak jak każde wspólne świętowanie urodzin, wspólne pływanie kajakami czy inne wspólne zainteresowanie. Ten przykład jest oczywiście bardzo niedoskonały, ale skoro Bóg ustanowił („zwołał”) nas jako lud, to nigdy nie będziemy ludem, nie odpowiemy na Jego zaproszenie, jeżeli każdy z nas czyniłby to tylko na własną rękę, samodzielnie, gdzieś w lesie. Jesteśmy wezwani do tego, by robić to razem. Co więcej, On sam nam pokazał, jak pragnie być czczony – słyszymy przecież w każdej Mszy św. słowa „to czyńcie na moją pamiątkę”. Jeżeli wymarzonego prezentem czyjejś żony jest naszyjnik, to ciężko twierdzić, że mąż zrobi równie wspaniałą niespodziankę, przynosząc jej róże. Ma być naszyjnik i kropka. Jeżeli Bóg sam określił, co mu się podoba, to naszym zadaniem jest tak czynić. I kropka. Co więcej, przez to, że to czynimy, On nas uświęca. Życie Chrystusowe rozlewa się na wierzących przez sakramenty – widzialne znaki niewidzialnej łaski. Innymi słowy, siedem sakramentów to znaki i narzędzia, za pośrednictwem których Duch Święty rozlewa łaskę Chrystusa-Głowy w Kościele, który jest Jego Ciałem. Kościół posiada więc i rozdziela łaskę niewidzialną.

I tu również ukazuje się niesamowicie ważne zadanie Kościoła. Bez tej Wspólnoty nie oddałbym Bogu czci tak, jak On lubi. Bez tej Wspólnoty nie miałbym soków z Pnia, którym jest Jezus, a przez to nie miałbym sił do walki z grzechem, szatanem. Generalnie rzecz ujmując: klęska, tragedia i wieczne nieszczęście, czyli piekło. A gorzej być nie może.

Trzecie więzy to sukcesja apostołska, czyli to prawo do nauczania, uświęcania (sprawowania kultu) i kierowania Wspólnotą, które otrzymali od Pana Jezusa Apostołowie. Oni przekazali swoim następcom, a oni swoim... i tak do naszych czasów. Tych następców nazywamy biskupami. Ciężko byłoby być w jednej wspólnotcie bez jednego przewodnika



– wycieczka górską z dziesięcioma przewodnikami, z których każdy ma inny pomysł, prędzej czy później zamieni się w zadanie ratunkowe dla Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Co więcej, kto miałby sprawować kult miły Bogu, kto rozstrzygać wątpliwości uczniów co do prawdy o Bogu? Bez sukcesji byłaby anarchia. Św. Ignacy Antiocheński pisze: „Wszyscy idźcie za biskupem jak Jezus Chrystus za Ojcem, a za waszymi kapłanami jak za Apostołami; szanujcie diakonów jak przykazania Boże. Niech nikt w sprawach dotyczących Kościoła nie robi niczego bez biskupa”.

I to właśnie mam dzięki Kościołowi. Jedność. Kogoś, kto jej strzeże w wymiarze całego Kościoła (papież) i Kościoła lokalnego, czyli diecezji. Jest komu wyjaśnić, rozstrzygnąć spór, sprawować sakramenty. Dawać życie nadprzyrodzone. Oczywiście, czynnik ludzki zawsze jest zawodny. Nie brak było w historii Kościoła przypadków, kiedy ten czynnik zawodził zarówno po stronie pasterzy, jak i owiec. Stąd braki w jedności, kłótnie, rozłamy. Jak to się jednak stało, że mimo wszystko Kościół trwa nadal, a nawet więcej: nie trzeba wycofywać się z wcześniej ogłoszonych prawd o Bogu i człowiekowi?

Wyjaśnienie jest proste. To wszystkim nie dzieje się tylko z Bożego ustanowienia i naszego ludzkiego wyko-

niania. Jest jeszcze Ktoś, kto za tym wszystkim stoi, kto kieruje, wspiera, chroni przed błędami w doktrynie. To Duch Święty, którego obecność została nam obiecana przez Jezusa.

Pewność zbawienia

Kościół uznaje, że inne religie poszukują „po omacku i wśród cielesnych wyobrażeń” Boga nieznanego, ale bliskiego, ponieważ to On daje wszystkim życie, tchnienie i wszystkie rzeczy oraz pragnie, by wszyscy ludzie zostali zbawieni (por. Katechizm Kościoła Katolickiego, 843), ALE MY JUŻ TO MAMY. Zamiast wątpliwości – pewność, zamiast błędzenia – prosta droga, zamiast odległości od Boga – przytulenie w sakramentach.

Idąc dalej tym tropem, należy sobie uświadomić, że nie mogliby więc zostać zbawieni ludzie, którzy wiedząc, że Kościół założony został przez Boga za pośrednictwem Chrystusa jako konieczny, mimo to nie chcieliby bądź przystąpić do niego, bądź też w nim wytrwać (por. Katechizm Kościoła Katolickiego, 846). Bycie tylko ciałem w Kościele (formalna przynależność) bez bycia duchem (zaangażowanej obecności) zbawienia dać nie może. W końcu jeżeli wiara jest drogą, to samo na nią wejście nic nie gwarantuje. Tylko przejście drogą może doprowadzić do celu. Sądzę, że wielu zdaje się o tym zapominać. I tak samo jak w swoich postawach religij-

nych ludzie ukazują także ograniczenia i błędy, które deformują w nich obraz Boży, tak samo deformują one rozumienie Kościoła sprowadzanego często do księży i kilku uroczystości w życiu (chrzest, I Komunia św. i pogrzeb).

A zatem nie można być miłszym Bogu, niż trwać i działać we Wspólnocie Kościoła. Bo jeżeli w Niej jestem, to znaczy, że odpowiedziałem na Jego głos. Nie obraziłem się, nie poszedłem do wspomnianego lasu, ale jestem razem z innymi. Ponieważ to bycie z innymi musi się jakoś wyrazić, dlatego spotykam się w jakimś miejscu (kościół przez małe „k”), gdzie się Boga chwali w sposób, jaki On sam wskazał. Ciężko obronić twierdzenie, że skoro Bóg zwołał lud, to teraz ten lud rozejdzie się bez żadnych widzialnych znaków łączności z Bogiem i samym sobą. Tak samo ciężko jest obronić twierdzenie, że Boga lepiej chwale w lesie niż na Uczcie Jego Syna, o której sam Jezus mówi: „to czyńcie na Moją pamiątkę”. Oczywiście, wymaga to zejścia z kanapy fizycznie (by pójść na zgromadzenie) i mentalnie (by zrezygnować z własnych wizji, co Bogu miłsze, i wybrać to, co sam Bóg przekazał). Ale ten, kto ruszy w drogę, nigdy się nie zawiedzie.

X. BARTOSZ SKAWIŃSKI

Być może każdy szuka czego innego

Przewodnia kwestia tego numeru: „Po co nam Kościół?” może wprawić w zakłopotanie. Pytanie należy do tych, na które trudno o gładką i łatwą odpowiedź i może nie zawsze warto jej udzielać. Być może każdy szuka czego innego, nie do końca sobie uświadamiając, jakie pragnienia nim kierują. Zapewne zależy to od wieku, bagażu doświadczeń, od tego, czym atakuje nas dzień codzienny. Zawsze dotyka najintymniejszych, bardzo osobistych sfer ludzkiego „ja”. Może więc lepiej nie wkraczać w nie bez wyraźnej potrzeby?

Tak sobie rozmyślałam, gdy Staś Kaleta przyniósł mi do przeczytania komplet wydanych dwadzieścia lat temu przez Czytelnika „Dzienników” Marii Dąbrowskiej. Lekturze, znanej mi dotąd jedynie z fragmentów, oddałam się z wielką przyjemnością. Tym większą, że przypomniła mi, jaką dumą napawało nas, że pisarka zamieszkała w Komorowie, że stała się naszą krajanką. Widzę, jakby to było dzisiaj, jej drobną sylwetkę podążającą ulicą Kraszewskiego i wolnym krokiem wzdłuż ul. Sportowej, przed moimi oknami, kierującą się na spacer do

lasu. Przez pewien czas był to jej niemal codzienny rytuał. Wspomnienie o wybitnej autorce jakoś samo skojrzyło się z kwestią „Po co nam Kościół”.

W „Dziennikach” znalazłam wyjaśnienie, dlaczego pisarka, ostro lewicująca za młodu, żyjąca po śmierci męża przez wiele lat w konkubina-cie, wróciła do Kościoła i poprosiła w testamentie o „pochówek wedle obrządku religii rzymsko-katolickiej”. Ona – ta, która opowiadała się w pewnym czasie za prawem ko-



biet do aborcji, bo uwierzyła w teorie neomaltuzjańskie, a te sugerowały zabijanie nienarodzonych ze strachu przed przeludnieniem świata. Ona – poruszająca się w kręgu przyjaciół z masonerii (choć sama nienależąca do wolnomularstwa).

Dąbrowska akcentuje w dzienniku z 13 czerwca 1963: „Pogrzeb religijny... jest hołdem dla piękności obrzędów katolickich, w których się wychowałam, dla tysiącletniej tradycji mego narodu, pokornym hołdem dla pamięci Jana XXIII, który potrafił to, co nikt: ożywił i zmobilizował ludzką dobroć”.

Jak pisarka poszukiwała Pana Boga? Nie wiem. Widzę jednak, że zwraca się ku ziemskiej instytucji Jemu służącej i czerpie z niej nadzieję. Nie, z pewnością nie chodzi jej o prawo do pogrzebu z kapłanem.

W tym czasie rzeczywiście fascynowała się myślą papieża Jana XXIII, o czym pisała w dzienniku z 20 kwietnia 1963. Tam cytuje za francuskim tygodnikiem „Le Monde” poruszające ją fragmenty encykliki „Pacem in teris” i nazywa jej wydanie „wstrząsającym wydarzeniem”. Krótco potem (31 maja) zapisała: „Dziś rano zdobyłam się wreszcie na wizytę u tutejszego proboszcza, ks. kanonika Józefa Jakóbczyka. I nie żałuję tego”. Wyznanie to, w ustach pisarki jak ognia unikającej zwierzeń intymnych, przyjmując należy jako wielki komplement dla sędziwego już wówczas komorowskiego proboszcza. Oznacza, że pisarka czegoś szukała u duchownego i to coś w tej rozmowie znalazła. Co to było? Nie wiem. Jako dziewczynka znałam księdza proboszcza. Teraz wspominam, dostrzegając w nim uosobienie ładu i pogody ducha. Nie wątpię, że nękana wątpliwościami, a zapewne

nawet lękiem Dąbrowska, wyszła ze spotkania pokrzepiona.

Po co więc nam Kościół? Potrzebny jest dziecku – by dowiedziało się, że istnieje dobro i zło. Młodziankowi – aby uczył się między nimi wybierać. Dorosłemu pomoże odpowiedzieć na pytanie: jak żyć i wychowywać dzieci. Patriotę utwierdzi w przekonaniu, że istnieje siła spajająca, umacniająca naród. Naukowcom musi przypominać, że człowiekowi nie wolno robić wszystkiego tego, co potrafi. Co innego daje on osobom skłonny do przeżyć mistycznych, co innego – stojącym mocno na ziemi, a jednak szukającym sensu życia.

Tak myślę. Choć ze świadomością, że niekoniecznie mam rację. Jedno nie ulega wątpliwości: cieszę się, że nasz Kościół jest.

ŻANETA SEMPRICH-FOROWICZ

Bliski Bóg

Czas adwentu przeżywaliśmy kilka miesięcy temu, z utęsknieniem wypatrując śniegu i oczekując na narodziny samego Boga. Dziś w zupełnie innej atmosferze – atmosferze świąt Wielkiejnocy – zapraszam do ponownego spotkania z adwentowym rekolekcyjnym, ks. Witoldem Janochą.

Agata Dąbrowska: Czy mógłby Ksiądz powiedzieć kilka słów o sobie?

ks. Witold Janocha: Jestem pracownikiem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, pracuję w Instytucie Nauk o Rodzinie i Pracy Socjalnej, pełnię funkcję kierownika Katedry Integracji Społecznej Osób z Niepełnosprawnością. Konferencja Episkopatu Polski powierzyła mi pieczę nad niepełnosprawnymi sportowcami, zobowiązując do troski duszpasterskiej nad nimi. Tak więc niepełnosprawność jest moim tematem wiodącym w obszarze naukowym, jak i pracy duszpasterskiej.

Czy duszpasterstwo sportowców niepełnosprawnych znacząco różni się

od innych duszpasterstw?

Sportowcy to ludzie bardzo waleczni. Nie tylko na macie czy bieżni, ale i w życiu żaden człowiek nie doszedłby do sukcesów sportowych, gdyby poddał się psychicznie, duchowo, fizycznie. Są mocni wewnętrznie, co pozwala im osiągać nie tylko wyniki sportowe, ale i pokonywać trudności życiowe, które piętrzą się przed nimi. Obecnie sport niepełnosprawnych jest sportem w pełni profesjonalnym, różnica polega na tym, że sportowcy niepełnosprawni posługują się innym sprzętem, czasem występują różnice w dyscyplinach czy zasadach regulujących współzawodnictwo. Poza tym jest to sport wyczynowy, gdzie wymagany jest codzienny trening, zaplecze organizacyjne, gdzie wszystko podporządkowane jest uprawianej dyscyplinie.

Sfera duchowa jest o tyle ważna, że oni wszyscy kiedyś, stając się osobami niepełnosprawnymi czy rodzając się jako niepełnosprawni, musieli zmierzyć się z pytaniem o sens niepełnosprawności, o to „dlaczego tak się stało”, „dlaczego ja”, co

było przyczyną takiego nieszczęścia, dlaczego jedni są w pełni sprawni, a inni nie. Zdecydowana większość osób niepełnosprawnych wcześniej czy później dochodzi do wniosku, że prostej odpowiedzi na tak postawione pytania nie ma, a jedyna sensowna odpowiedź jest w Bogu. Stąd ich otwarcie na Boga prowadzące do przemyśleń na tematy egzystencjalne. Osoby pełnosprawne nie zmagają się z tego rodzaju problemami, dlatego też w wielu przypadkach są zdecydowanie uboższe duchowo.

Czy niepełnosprawni są szczęśliwi?

Wielu spośród nich oczywiście tak. Znam małżeństwo – obydwójce poruszają się na wózkach – mają piękną córkę, realizują się jak każda rodzina, mają podobne problemy, funkcjonują w swoim środowisku, wybudowali dom dostosowany do swoich potrzeb, poruszają się samochodem. Nie widzę różnicy między tym małżeństwem a małżeństwami osób pełnosprawnych – może poza tym, że czasami jeszcze ktoś rzuci im uszczypliwą uwagę. W swoim środowisku

robią dobrą robotę edukacyjną, pokazując, że niepełnosprawność nie jest końcem życia, ale uczy życia na nowo.

W ośrodku dla niepełnosprawnych, w którym kiedyś posługiwałem, pracował niewidomy masażysta. Jego żona jest osobą niedowidzącą, mają dwoje dzieci: jedno niewidzące, drugie niedowidzące. Tam nie ma zgorzknienia, zawodu, pretensji. W tym domu jest pełnia życia i szczęście – jestem o tym przekonany.

Niestety w naszym społeczeństwie istnieją jeszcze stereotypy na temat osób niepełnosprawnych. Wielu postrzega ich jako osoby smutne, zgorzkniałe, roszczeniowe itd. Pamiętajmy, że stereotyp to zredukowana, zafałszowana wizja jakiejś rzeczywistości – dotyczy to również obrazu osób niepełnosprawnych. Faktem jest, że dopiero od lat 90. XX wieku zaczęło się coś zmieniać w Polsce w stosunku do osób niepełnosprawnych. Zaczęto dostosowywać otoczenie, wprowadzać ułatwienia. Jednak zawsze kiedy porównuje się choćby dostępność szkół, uczelni wyższych, dostęp do miejsc pracy, osoby niepełnosprawne są w gorszej sytuacji. Osoby pełnosprawne muszą pozwolić niepełnosprawnym na rozkwit, na to, aby poczuli się rzeczywiście wolnymi ludźmi: wolnymi od uprzedzeń, dyskryminacji, ograniczeń w dostępie do różnego rodzaju dóbr, z których każdy ma prawo korzystać – a to z pewnością przyczyni się do poczucia szczęścia tych osób.

Jaki jest sens niepełnosprawności z chrześcijańskiego punktu widzenia?

Bóg stworzył człowieka jako pełnosprawnego i pragnie jego dobra, pragnie, aby ludzie byli szczęśliwi. Krzyż jest zawsze czymś niepożądanym. Bóg nie stworzył cierpienia i krzyża, jest to skutek ludzkiej niewierności i grzechu pierworodnego.

Pytanie o sens cierpienia,

niepełnosprawności, jest pytaniem, na które od dawna szukamy odpowiedzi. W Ewangelii św. Jana czytamy opis wydarzenia, w którym przyprowadzono do Pana Jezusa niewidomego od urodzenia. Uczniowie pytają: „Rabbi, kto zgrzeszył, że się urodził niewidomym – on czy jego rodzice?”. Jezus odpowiada: „Ani on nie zgrzeszył, ani rodzice jego, ale [stało się tak], aby się na nim objawiły sprawy Boże”. Kiedy człowiek podejmuje cierpienie z Je-

zusem Chrystusem, moc Boża ma potężne działanie sprawcze, może bardzo dużo zmienić w człowieku i otoczeniu. Wyobraźmy sobie świat bez osób niepełnosprawnych, chorych, bez cierpienia. Ile dobra znika wtedy ze świata? Ile wrażliwości? Ile uśmiechów, gestów pomocy, mocniejszego bicia serca, gdy pochylamy się nad drugim człowiekiem? Cierpienie jest zawsze indywidualne, ale wyzwala mnóstwo dobra, które wydaje piękne owoce.





Dlaczego jedni zostają uzdrowieni, a inni nie?

Jest to tajemnica Boga. Z lektury Pisma Świętego wiemy, że nie wszyscy przychodzący do Jezusa zostali przez Niego uzdrawiani. Jezus uzdrowił tych, których chciał, tych którzy mieli głęboką wiarę: „Niech Ci się stanie według Twojej wiary”. Nie jesteśmy w stanie ocenić skali ludzkiej wiary ani zaufania do Boga, ale jest ona warunkiem nieodzownym, aby Jezus mógł nas uzdrowić.

Z drugiej strony Bóg najlepiej zna serce człowieka i wie, co mu jest potrzebne do zbawienia. Być może człowiek, który został uzdrowiony, potrzebował tego uzdrowienia, aby zostać zbawionym, a temu, który nie został uzdrowiony, być może łatwiej będzie osiągnąć życie wieczne na drodze choroby i cierpienia. Zawsze musimy mieć w perspektywie ostateczny cel naszego życia, jakim jest niebo. Jezus cokolwiek czyni i jakiegokolwiek znaki działał, to tylko po to, aby człowiek osiągnął ten ostateczny cel.

Dlaczego więc tak często modlimy się o uzdrowienie – przecież skoro Bóg wie...

Modlitwa jest uwielbieniem Pana, jest rozmową z Przyjacielem, Oblubieńcem. Jezus zachęcał uczniów, aby się modlili i sam dużo się modlił. Może przykład: w małżeństwie żona wie, że mąż ją kocha, ale potrzebuje usłyszeć wyznania miłości, gdyż słowa są emanacją serca. Bóg wie, czego potrzebujemy, zanim Go o to poprosimy, ale pragnie naszego serca, naszej miłości, oddania całego siebie – jak w małżeństwie. Serce człowieka oddane Bogu jest sercem szczęśliwym, wolnym, przepelnionym radością. Bóg zna nasze potrzeby, ale poprzez naszą modlitwę pragnie dać nam o wiele więcej, niż prosimy. Niepełnosprawność, choroba są rzeczywistością, która ogarnia całość ludzkiego życia, myślenia, działania. Kto potrafi wyzwolić się z tej pułapki, spotyka Boga, który poprowadzi go na duchowe przestrzenie, gdzie odnajdzie spokój i bezpieczeństwo mimo choroby. Jest to charyzmat, o który powinniśmy Boga prosić.

Charyzmaty nie są dziś popularnym

tematem...

Mam za sobą 26 lat kapłaństwa i zaczynam je coraz bardziej odkrywać. Nasze parafie zaczynają obumierać nie tylko fizycznie, ale także duchowo. Wkrada się marazm, skostnienie, rutyna, dlatego wspólnoty charyzmatyczne są nam bardzo potrzebne. To ferment Ducha Świętego, to drożdże dla wspólnoty parafialnej, aby wzrastała. Nawet jeżeli nie wszyscy rozumieją, czym są wspólnoty charyzmatyczne, gdy wierni będą pytać: „co to jest? co wy tam robicie? czym jest modlitwa językami?”, może będzie to początek drogi, odkrywania nowych form uwielbienia Jezusa, odkrycia Go we wspólnocie.

Uważam, że w większości parafii powinny istnieć grupy charyzmatyczne. Parafia powinna być wspólnotą wspólnot. Niech ludzie będą zdziwieni, może nawet zaniepokojeni, ale niech ich to pobudza do myślenia. Jeżeli taka wspólnota jest dobrze pokierowana i ma odpowiedzialnych liderów, może wnieść wiele dobra.

Czym różni się adwent od Wielkiego Postu?

W liturgii Kościoła zarówno adwent, jak i Wielki Post to czas przygotowania, oczekiwania, czuwania. Adwent – radość oczekiwania na przyjście Pana przesycona tęsknotą, wołaniem o Emmanuela, który przychodzi, by rozproszyć mroki świata pogrążonego w grzechu Adama; to Maryja mówiąca z pokorą „Fiat” – niech mi się stanie. Ileż w tym czasie radości, że przyszedł Ten, na którego czekano od tysiącleci. W Wielkim Poście czujemy ów ciężar odpowiedzialności: tak, Chrystus bierze krzyż, który jest obciążony także moimi grzechami, mam świadomość, że to dla mnie został ubiczowany, przybity do krzyża, przebito Jego bok. Radość przemienia się w głęboką refleksję nad moim życiem, w nabożeństwo drogi krzyżowej biorę z Jezusem krzyż, w gorzkich żalach oplakuję Jego mękę i śmierć.

Adwent i Wielki Post – różny nastrój, ale ta sama historia zbawienia, która staje się dla mnie nadzieją...

Jak dobrze przeżyć Wielki Post?

Wielki Post to nasza droga z Panem do Jerozolimy, ze świadomością, co jest kresem tej drogi; to towarzyszenie Jezusowi do Betanii, gdzie został namaszczonej przez Marię na swój pogrzeb; to Jego wjazd do Jerozolimy pośród wiwatującego tłumu, w którym odnajdujemy również siebie; to także droga krzyżowa i moja refleksja, po której stronie stoję. Tak, Wielki Post to poszukiwanie siebie pośród tych osób, które na swojej drodze spotkał Jezus; to odpowiedź na pytanie: „kim jestem?”. Marią z Betanii; fałszywym świadkiem, który oskarżał Jezusa; Piłatem, który umył ręce, idąc na zgniły kompromis; Piotrem, który się wyparł swojego Mistrza; a może łotrem na krzyżu obok i wołam: „Jezu wspomnij na mnie...”. Przeżyć dobrze Wielki Post to odnaleźć siebie.

Jakie lektury poleciłby Ksiądz na okres wielkanocny?

Kardynał Luis Antonio Tagle napisał książkę „Ludzie Wielkiej Nocy”. Kardynał Tagle jest nazywany filipińskim Karolem Wojtyłą. W dobie globalizacji, indywidualizmu, materializmu wspólnota stanowi dla człowieka wartość wielowymiarową: to wspólnota miłości, solidarności, nadziei, modlitwy. Jakże ubogim jest człowiek, który zamyka się na bliźnich.

Inną lekturą, wprawdzie bardziej na czas Wielkiego Postu, jest dość trudna książka „Za 5 godzin zobaczę Jezusa”. Autorem jest Jacques Fesch, prowadzony jest jego proces beatyfikacyjny na poziomie diecezji. Jacques był młodym Francuzem, w czasie zorganizowanego wraz z kolegami napadu zastrzelił policjanta i został skazany na karę śmierci, którą wykonano w 1957 roku. Był ateistą. Jednak w celi więziennej, przeżywając bardzo trudne chwile, zaczął krzyżować: „Boże, pomóż!”. To zdanie otworzyło go na łaskę Pana. Dwa miesiące przed egzekucją zaczął pisać dziennik i zakończył go godzinę przed egzekucją.

Bardzo dziękuję za rozmowę!

ROZMAWIAŁA: AGATA DĄBROWSKA



Wędrówka szlakiem Prawdziwej Miłości

Witaj Drogi Czytelniku!

Dzisiaj chciałabym zaprosić Cię do rozpoczęcia w towarzystwie Jezusa wspólnej wędrówki po ścieżkach naszego życia, które prowadzą ku świętości, ku spotkaniu z naszym Bogiem w niebie. Tak, tak, ku świętości! Jest to droga trudna i wyboista. Droga, na której będziemy spotykali wiele przeszkód, uniedogodnień i wyzwań. Będą skaleczenia i upadki, lecz nie zniechęcaj się i nie martw się na zapas, jak to będzie, gdyż ten cały wysiłek jest wart nagrody, jaką jest życie wieczne, życie w domu naszego Ojca w niebie. Tam będzie pełnia radości. Na początek naszej wędrówki zapraszam Cię na ścieżkę Miłości.

W 1 Liście do Koryntian (13,4-7) możemy przeczytać, że:

„Miłość cierpliwa jest,
łaskawa jest.
Miłość nie zazdrości,
nie szuka poklasku,
nie unosi się pychą;
nie dopuszcza się bezwstydu,
nie szuka swego,
nie unosi się gniewem,
nie pamięta złego;
nie cieszy się
z niesprawiedliwości,
lecz współweseli się z
prawdą. Wszystko znosi,
wszystkiemu wierzy,
we wszystkim
pokłada nadzieję,
wszystko przetrzyma”.

Ktoś, kto czyta te słowa, może powiedzieć, że jest to przepis na Miłość idealną, a wręcz nieosiągalną. Tak, to jest Miłość pełna, piękna i bardzo dojrzała. Ta dojrzała Miłość prowadzi do tego, że jest osiągalna i bardzo realna. Do Jej realizacji zaprasza nas sam Bóg, który jest Miłością. Natomiast by osiągnąć ten wymarzony cel, nie wystarczy włożyć

wiele wysiłku i trudu własnego, lecz należy na sam początek zaprosić Pana do swojego życia, do swojej rodziny. Jak mówi św. Augustyn z Hippony: „Gdzie Bóg jest na pierwszym miejscu, tam wszystko jest na swoim miejscu”.

W Posynodalnej Adhortacji Apostolskiej AMORIS LAETITIA „O miłości w rodzinie” ojciec święty Franciszek tak pisze: „Małżonkowie, którzy się kochają i należą do siebie, mówią dobrze jedno o drugim, starają się pokazać dobrą stronę współmałżonka, a nie tylko jego słabości i błędy. W każdym przypadku zachowują milczenie, aby nie zniszczyć jego obrazu. Nie jest to jednak jedynie zewnętrzny gest, ale wypływa on z postawy wewnętrznej. Nie jest to też naiwność człowieka, który udaje, że nie widzi trudności i punktów słabych drugiej osoby, ale jest to głębia spojrzenia tego, kto umieszcza te słabości i błędy w szerszym kontekście. Pamięta, że te wady są tylko pewną częścią, nie całością istnienia drugiej osoby. Nieprzyjemny fakt w danej relacji nie jest jej całością. Można zatem zaakceptować z prostotą, że wszyscy jesteśmy złożoną mieszaniną światła i cienia. Drugi jest nie tylko tym, który mnie denerwuje. Jest czymś znacznie więcej. Z tego samego powodu nie wymagam, aby go docenić. Kocha mnie takim, jakim jest i jak potrafi ze swoimi ograniczeniami, ale fakt, że jego miłość jest niedoskonała, nie oznacza, że jest fałszywa czy też że nie jest rzeczywista. Jest rzeczywista, ale ograniczona i doczesna. Jeśli więc wymagam zbyt wiele, uzmysłowi mi to w jakiś sposób, ponieważ nie może ani też nie zgodzi się, by grać rolę istoty boskiej albo żeby być na usługach wszystkich moich potrzeb. Miłość współistnieje z niedoskonałością, wybaczeniem i potrafi zamilczeć w obliczu ograniczeń umiłowanej osoby”.

Aby moja miłość do drugiego człowieka, do świata, jak również do samego Boga była w pełni dojrzała,

muszę – wkraczając na ścieżkę Miłości – podjąć trud pracy nad sobą, który prowadzi do lepszego poznania właściwego obrazu siebie. Święta Teresa z Avila mówi wyraźnie, że poznanie siebie zawsze musi towarzyszyć modlitwie. Nie wystarczy modlitwa polegająca na wołaniu do Boga, jeśli nie towarzyszy jej poznanie i pogłębianie znajomości siebie.

A zatem o jakie poznanie chodzi?

Ksiądz dr Włodzimierz Cyran poznanie dzieli na trzy dziedziny:

Najpierw chodzi o poznanie psychologiczne, czyli poznanie władz psychicznych. Strefa psychiki, to jest głównie wyobraźnia i rozum jako siedlisko myśli, jest bardziej niespokojna, nie w pełni podlega naszej woli, nie możemy jej w pełni kontrolować, a ujarzmić może ją tylko Bóg.

Sfera ducha jest spokojniejsza. Jej władze to umysł i wola. Umysł jest wewnętrzną władzą poddaną woli: myślę umysłem, co chcę. Wola jest wyrazem mojego ducha, mojego „ja”, jest „moją” wolą.

Psychologiczne poznanie siebie jest poznaniem aktywności różnych władz człowieka. Znać siebie to umieć rozróżniać i dostrzegać, co się dzieje we mnie i czego pragnę.

Drugie poznanie jest poznaniem duchowym, które odnosi się do naszego życia duchowego. Jest poznaniem naszej relacji z Bogiem i nie dotyczy już sfery psychiki czy władz duszy.

Najpierw poznajemy, kim jest Bóg, kim ja jestem i kim ja jestem wobec Boga. Jest to poznawanie siebie, swojej sytuacji wobec Stwórcy, Jego godności, swojej małości jako stworzenia, swojej nicości, ale także i własnej godności. Wraz z rozwojem modlitwy człowiek coraz głębiej uświadamia sobie tę prawdę, lepiej poznaje Boga, Jego tajemnicę, bardziej pada w pokorze przed Jego Majestatem, bo głębiej poznaje ogrom swojej nicości. Nie lekceważy już Boga, bo wie, że jest On Wspa-



niały, Wielki i Potężny. Poznaniu temu powinno również towarzyszyć poznawanie swojej godności dziecka Bożego i ukochania przez Boga. Święty ma wielkie zaufanie do Pana mimo poznania swojej nędzy i Jego wielkości. Wie, że Bóg go kocha.

Druga dziedzina poznania duchowego to poznanie bogactwa nadprzyrodzonego, w jakie Bóg człowieka wyposaża: piękną duszy i Bożych darów.

Trzecia dziedzina dotyczy naszej duchowej relacji z Bogiem, na którą wpływają moje złe skłonności, osobowość i wnętrze. Należy lepiej poznać siebie w swojej słabej kondycji, by wiedzieć, jak nad tym pracować.

We właściwym procesie prowadzącym do poznawania siebie nie możemy pominąć aspektu dotyczącego stanięcia w prawdzie przed sobą, a co za tym idzie, również i przed Bogiem. Jeżeli w tej wędrówce ku świętości będziemy udawali i tworzyli po drodze fałszywy obraz siebie, niestety osiągnięcie celu będzie prowadziło nie drogą prostą, lecz pokretną. Lecz nie martw się, mój towarzyszu drogi, Bóg jest bliżej, niż myślimy. Jak pisał św. Jan od Krzyża: „W nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy”.

Cierpliwość zwycięża
Nie trwóż się, nie drzyj
Wśród życia dróg,
Tu wszystko mija,
Trwa tylko Bóg.

Cierpliwość przetrwa
Dni ziemskich znój,
Kto Boga posiadał
Ma szczęścia zdroj:
Bóg sam wystarcza.

Św. Teresa z Avila

MARIA WALTER-KOCHEL

Kalendarium parafialne

KWIECIEŃ

2	PIĄTA NIEDZIELA WIELKIEGO POSTU
9	NIEDZIELA PALMOWA MĘKI PAŃSKIEJ
10	Poniedziałek Wielkiego Tygodnia
11	Wtorek Wielkiego Tygodnia
12	Środa Wielkiego Tygodnia
13	Wielki Czwartek – POCZĄTEK ŚWIĘTEGO TRIDUUM MĘKI, ŚMIERCI I ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO
14	Wielki Piątek Męki Pańskiej
15	Wielka Sobota
16	NIEDZIELA ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO – ZAKOŃCZENIE ŚWIĘTEGO TRIDUUM
17	Poniedziałek w Oktawie Wielkiej Nocy
18	Wtorek w Oktawie Wielkiej Nocy
19	Środa w Oktawie Wielkiej Nocy
20	Czwartek w Oktawie Wielkiej Nocy
21	Piątek w Oktawie Wielkiej Nocy
22	Sobota w Oktawie Wielkiej Nocy
23	DRUGA NIEDZIELA WIELKANOCY, czyli MIŁOSIERDZIA BOŻEGO
24	UROCZYŚCIE ŚW. WOJCIECHA, BISKUPA I MĘCZENNIKA, GŁÓWNEGO PATRONA POLSKI
25	Święto Św. Marka, Apostoła i Ewangelisty
29	Święto Św. Katarzyny Sienneńskiej, Dziewicy i Doktora Kościoła
30	TRZECIA NIEDZIELA WIELKANOCY

MAJ

3	UROCZYŚCIE NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY, KRÓLOWEJ POLSKI, GŁÓWNEJ PATRONKI POLSKI
6	Święto Św. Apostołów Filipa i Jakuba
7	CZWARTA NIEDZIELA WIELKANOCY
8	UROCZYŚCIE ŚW. STANISŁAWA, BISKUPA I MĘCZENNIKA, GŁÓWNEGO PATRONA POLSKI
14	PIĄTA NIEDZIELA WIELKANOCY
16	UROCZYŚCIE ŚW. ANDRZEJA BOBOLI, KAPŁANA I MĘCZENNIKA, PATRONA POLSKI I METROPOLII WARSZAWSKIEJ
21	SZÓSTA NIEDZIELA WIELKANOCY
28	SIÓDMA NIEDZIELA WIELKANOCY – UROCZYŚCIE WNIEBOWSTĄPIENIA PAŃSKIEGO
31	Święto Nawiedzenia Maryi Panny

Porządek mszy świętych

Msze św. w dni powszednie o godz. 7.00 i 18.00;
w niedziele i święta o godz. 8.00, 9.30, 11.00, 12.30 i 18.00.

Kancelaria Parafialna czynna:

w poniedziałki, wtorki, środy, piątki
w godz. 9.00-10.00 oraz 16.00-17.30;
w soboty w godz. 9.00-10.00.

Biblioteka Parafialna czynna:

w poniedziałki i piątki w godz. 14.00-17.00.

Z ziemi włoskiej do Polski

W numerze 2. „Magazynu Parafialnego” z 2016 roku znalazł się artykuł poświęcony polskim symbolom narodowym. Opisano w nim flagę oraz herb. Przyszedł zatem czas na przypomnienie informacji dotyczących hymnu – tym bardziej, że 26 lutego przypadła dziewięćdziesiąta rocznica uznania „Mazurek Dąbrowskiego” (zgodnie z zapisem w Dzienniku Ustaw z 1927 roku) za polski hymn państwowy, zaś w lipcu minie dwieście dwudziesta rocznica jego powstania.

Rok 1795 przyniósł trzeci rozbiór Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Niegdyś potężne państwo zostało unicestwione przez Rosję, Prusy i Austrię. Wielu mieszkańców ziem polskich i litewskich udało się na emigrację, licząc na wsparcie Europy Zachodniej w odbudowaniu kraju. Celem wyjazdów stała się przede wszystkim Francja, ogarnięta duchem rewolucyjnym, prowadząca wojny z naszymi zaborcami. Tam to przedstawiciele polskiego obozu politycznego zwanego Agencją (jednym z jej czołowych przywódców był Józef Wybicki – prawnik, pisarz, polityk, uczestnik konfederacji barskiej, insurekcji kościuszkowskiej), przedstawiali rządzącemu wówczas Dyrektoriatowi koncepcję utworzenia polskich oddziałów przy boku armii francuskiej. Dyrektoriat odrzucił ją, mając na uwadze konstytucję zakazującą przyjmowania cudzoziemców w szeregi wojska Republiki Francji, jak też chcąc uniknąć pogorszenia stosunków z naszymi zaborcami (stałoby się tak, gdyby Polacy dostali zgodę na realizację swojego planu).

Jednak, żeby sprawy polskiej całkowicie nie zamykać, zdecydowano, że Polacy wesprą dowodzoną przez generała Napoleona Bonaparte armię francuską walczącą z Austrią na terenie Włoch. W styczniu 1797 roku reprezentujący Agencję generał Jan Henryk Dąbrowski podpisał z władzami Republiki Lombardzkiej umowę dotyczącą powstania polskich

oddziałów na terenie tego państewka (oficjalnie nazywane zostały Legionami Polskimi Republiki Lombardzkiej). Centrum tworzenia Legionów stała się miejscowość Reggio Emilia. Obowiązywać miały polskie komendy, mundury krojem zbliżone do polskich, zaś na naramiennikach widniały słowa: Ludzie wolni są braćmi. Liczyły się zasługi, a nie przynależność stanowa. Po paru miesiącach Dąbrowski miał do dyspozycji 6–7 tysięcy ludzi. W lipcu wspomnianego roku do Reggio dotarł Wybicki i między 16 a 19 lipca, który pod wpływem wzruszenia na widok polskich mundurów, orłów, sztandarów stworzył „Pieśń Legionów Polskich we Włoszech”, zawierającą żołnierskie wyznanie wiary: „Jeszcze Polska nie umarła”.

Pieśń „ojczulka”, jak nazywano Wybickiego, pełna optymizmu i patriotyzmu, wyrażała silną wiarę w wywalczenie niepodległości. Stąd też odwołania do kilku postaci będących symbolami walki o wolność kiedyś i wówczas. W refrenie słyszymy o generale Dąbrowskim, twórcy Legionów, uczestniku insurekcji kościuszkowskiej. Dalej mowa o hetmanie Stefanie Czarnieckim, doświadczonym dowódcy, który sławę i uznanie zdobył w czasie potopu szwedzkiego, prowadząc wojnę partyzancką z wojskami Karola Gustawa; o Napoleonie Bonaparte, dającym przykład, jak należy zwyciężać, oraz o Tadeuszu Kościuszcze, przywódcy insurekcji kościuszkowskiej, mającym na nowo poprowadzić Polaków do walki. W tekście widoczne są również refleksje na temat przyszłości Legionów. Liczono, że uda się je poprowadzić „z ziemi włoskiej do Polski”, a konkretnie do Galicji. Po jej oswobodzeniu w wyniku powstania żołnierze legionowi wkroczyliby do centralnych ziem polskich („Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę”) i przyczynią się do odrodzenia ojczyzny.

Legioniści bili się dzielnie. Do ważniejszych bitew z ich udziałem należy zaliczyć:



Generał Jan Henryk Dąbrowski
– autor Maja Wolff

- bitwę pod Magnano 1 XII 1798 roku, kiedy to brygada (300 ludzi) generała Karola Kniaziewicza zwyciężyła korpus wojsk Neapolu (5000 ludzi);

- obronę Mantui IV-VII 1799 roku, zakończoną dla legionistów dużymi stratami, na koniec zdradą Francuzów, ponieważ wydali ich stronie austriackiej;

- bitwę nad rzeką Trebbią 17-19 VI 1799 roku – legioniści u boku Francuzów walczyli z armią Aleksandra Suworowa, ponosząc znaczne straty; powstrzymali jednak wojska rosyjsko-austriackie, potem osłaniali odwrot wojsk francuskich;

- bitwę po Hohenlinden 3 XII 1800 roku, Legia Naddunajska generała Kniaziewicza pomogła rozgromić wojska austriackie.

Niestety nic nie może trwać wiecznie. Francja dzięki pokojom zawartym z Austrią i Rosją w 1801 roku zobowiązała się nie wspierać ich „wrogów wewnętrznych”. Z tego powodu w latach 1801–1803 Legiony zostały wysłane na San Domingo (Haiti) do stłumienia powstania antyfrancuskiego. Wojsko dziesiątkowały przede wszystkim choroby tropikalne i nieustępliwi mieszkańcy wyspy. Do Europy powróciło zaledwie kilkuset żołnierzy – część osiedliła się na miejscu, otrzymując pełne prawa obywatelskie jako jedyna grupa białej ludności.

Pieśń Wybickiego stała się symbolem trwania narodu. Śpiewano ją w Księstwie Warszawskim, z jej słowami na ustach szli do boju Polacy



Józef Wybicki
– obraz ze strony Zespołu Szkół w Parkowie

w bitwie o Olszynkę Grochowską w roku 1831. Była wzorem dla dzieł wiekistwierciastowiecznych hymnów m.in. Słowacji, Chorwacji, Serbii. Maria Konopnicka w wierszu „Jeszcze nie zginęła” oddała jej hołd, pisząc o duchu Legionów powracającym podczas każdego jej śpiewania. W 1914 roku, kiedy tworzyły się Legiony Piłsudskiego, przerobiono ją na potrzeby tego wydarzenia:

*Marsz, marsz, Piłsudski,
Prowadź na bój krwawy,
Pod Twoim przewodem,
Tryumf naszej sprawy.*

Ostatecznie rolę utworu określiły władze państwowe po przewrocie majowym z roku 1926. Wtedy to wprowadzono w szkołach obowiązujący tekst pieśni „Mazurek Dąbrowskiego”, by w roku kolejnym ogłosić ją hymnem państwowym.

A Wybicki? Popularność stworzonej przez niego „Pieśni Legionów Polskich...” chyba go przerosła. Wyparł się Napoleona, przechodząc na służbę do cara Aleksandra I. Z jego rąk przyjął funkcję prezesa Sądu Najwyższego Królestwa Polskiego, tytuł senatora i wojewody. Potępiany za kolaborację wówczas, dziś czczony jest jako twórca najważniejszego utworu w naszym kraju. Przejawem tego niech będzie Muzeum Hymnu Narodowego, otwarte w 1978 roku w Będolinie, miejscu urodzenia Józefa Wybickiego. Jesteśmy jedynym państwem na świecie posiadającym tego typu placówkę.

PIOTR RADKIEWICZ
DANIEL WOLBORSKI

Aktualna treść

Jeszcze Polska nie zginęła.
Kiedy my żyjemy.
Co nam obca przemoc wzięła,
Szablą odbierzemy.

Marsz, marsz. Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski.
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami.
Dał nam przykład Bonaparte.
Jak zwyciężać mamy.

Marsz, marsz. Dąbrowski...

Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze,
Dla ojczyzny ratowania
Wrócim się przez morze.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

Już tam ojciec do swej Basi
Mówi zapłakany
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.

Marsz, marsz. Dąbrowski...

Tekst według pisowni rękopisu Wybickiego

Jeszcze Polska nie umarła,
kiedy my żyjemy.
Co nam obca moc wydarła, s
zablą odbijemy.

Marsz, marsz. Dąbrowski
do Polski z ziemi włoski
za Twoim przewodem
złączem się z narodem.

Jak Czarniecki do Poznania
wracał się przez morze
dla ojczyzny ratowania
po szwedzkim rozbiorze.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

Przejdziem Wisłę przejdziem Wartę
będziem Polakami
dał nam przykład Bonaparte
jak zwyciężać mamy.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

Niemiec, Moskal nie osiedzie,
gdy jąwszy pałasza,
hasłem wszystkich zgoda będzie
i ojczyzna nasza.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

Już tam ojciec do swej Basi
mówi zapłakany:
słuchaj jeno, pono nasi
biją w tarabany”.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

Na to wszystkich jedne głosy:
„Dosyć tej niewoli
mamy Raclawickie Kosy,
Kościuszkę, Bóg pozwoli”

Marsz, marsz, Dąbrowski...

W Ogrodzie wspomnień (51)

KOCHANI PRZYJACIELE Z KOMOROWA!

Pytanie „po co nam Kościół?” zadaje sobie chyba każdy człowiek. Już chciałam dodać: „w dzisiejszym, tak bardzo trudnym świecie”, ale przecież od początku istnienia Kościoła nie tylko dzień dzisiejszy, ale każdy czas nie był dla niego łatwy.

Dobrze, że padło takie pytanie. Choćby u mnie zbudziło tyle myśli i tyle wspomnień o Kościele – Bogu w Trójcy Świętej, o kościołach – tych z ludzi i z cegieł, które zaistniały w moim życiu. Spisałam na kartce, począwszy od tej pierwszej w moim życiu kaplicy Matki Boskiej na warszawskim Kamionku. Są w tym spisie i Namiestnicy Jezusa Chrystusa, i ukochany przeze mnie Prymas Ty-

siąclecia, i jakże liczni kapłani. Jest prapoczątek i początek Jezusowego Kościoła w Ziemi Świętej, jest Rzym Apostoła Piotra, jest świat świętego Pawła i Piotrów naszych czasów. Jest świat świętych męczenników i świętych. Są kościoły i kaplice u nas i na świecie i rozmodleni w nich wierni.

Wszyscy, wszystkie stanowiły i stanowią jedno – tak jak modlił się o to, prosił Boga, Swego Ojca, Chrystus, wszystkie prowadziły i prowadzą pracę utrzymania w nas tej jedności z Bogiem. Wszystkie.

KOŚCIÓŁ – MISTYCZNE CIAŁO CHRYSZTUSA – nadprzyrodzona łaska będąca dla ludzi stworzonych na obraz i podobieństwo Boga i łaską, i wiarą, i ogromnym trudem.

Zachwyca mnie w Kościele ta jedność mimo ułomności, które w nas

istnieją. Pragnę, by ten zachwyty mnie nie opuszczał.

Buduję mój kościół – Bożą Rodzinę, społeczność świętych – nieudolnie, ale buduję i pragnę jego jedności – tak jak powiedział Pan Jezus w Swojej modlitwie: przez Chrystusa, z Chrystusem i w Chrystusie.

NIECH ZMARTWYCHWSTANIE PANA JEZUSA BĘDZIE ZWYCIĘSTWEM ŚMIERCI, PIEKŁA I SZATANA DLA NAS WSZYSTKICH ZJEDNOCZONYCH W JEGO BOŻYM – NASZYM – KOŚCIELE.

ALDONA

Anin, 19 marca 2017

Proboszcz z Anina Ks. Piotr Pieniżek i (siedzą od prawej) mój ojciec, chrzestni i jego żona





KOMOROWSKI KOŚCIÓŁ – TEN Z PIERWSZEGO Z NIM SPOTKANIA

Zamieszkałam w białym domku w Komorowie ogromnie zmartwiona rozstaniem i z kochanym domkiem moich rodziców na Goćławku, i z upaństwowioną prywatną szkołą sióstr szarytek na Kamionku. Pożegnałam kochaną w mojej szkole kaplicę Matki Bożej (przystąpiłam w niej do pierwszej Komunii Świętej i Sakramentu Bierzmowania). Pozostawić musiałam kościoły: ten na placu Szembeka, w którym byłam ochrzczona, i ten stary, piękny przy klasztorze sióstr Felicjanek, gdzie przez rok uczestniczyłam w lekcjach religii i uczyłam się w szkole. Musiałam zostawić świeżo budowany kościół pod wezwaniem Świętego Wacława na Goćławku, o którym mówił z takim zapałem jego budowniczy i daleki nasz kuzyn, ksiądz Wacław Karłowicz, i aniński – drewniany, z wieżyczką biegnącą pod niebo razem z sosnami, tak niedaleki domu mego ojca chrzestnego – wujka Mariana.

Pana Boga kochałam całym ogromnie gorącym, dziecięcym sercem – tak jak i Jego znane mi Domy Boże. Wiedziałam od mateńki, od babuni, z tak wielu nauk i rozmów z mymi katechetkami i kapłanami, że Pan Bóg jest wszędzie, kocha cały świat, a kościół jest moim domem, ale dla małej Aldonki rozstanie z tym, co kocha i zna było katastrofą.

Kościół w Komorowie zobaczyłam, idąc zapisać się do nowej, o zgrozo państwowej, szkoły. Stały koło niego jakieś niewielkie rusztowania, spod których wyglądała mocna, czysta biel. Otaczały go cudne, biało-zielone brzozy. Było ich bardzo dużo. Był bielszy od ich pni i taki jak stare, dawne kaplice i kościoły na obrazach w albumach mateńki. Zajrzałyśmy do środka: Matka Boska Miłosierdzia – Pani Ostrobramska – zawieszona w głównym ołtarzu, patrzyła na nas spod spuszczonego powiek. Była bardzo, podobna do tej z pamiątkowego medalika po ta-

tusiu, który nosiłam na sercu. Nic a nic to mnie nie uspokoiło, gdy nagle ksiądz Józef – proboszcz i nasz sąsiad – powiedział, wychodząc z dolnych pomieszczeń kościoła:

– U nas w kościele jest tak pięknie, przepięknie. Dziś porządkujemy całą świątynię przed niedzielą. Taka dziewczynka z warkoczami, z trzema kokardami, powinna tryskać radością, a nie tak patrzeć na Komorów, na świat, na wszystko spode łba. Tylko „Ojcze nasz” pomoże, tylko „Zdrowaś” przegoni złe humory. – I zaczęły z mateńką modlić się na stopniach kościoła.

Modliłam się bez uśmiechu, ale na pewno to ona, ta modlitwa, pomogła, bo pokochałam tak zawsze, na zawsze Komorów, jego szkołę i kościół.

Opowiem co nieco o moim kościele w Aninie, którego jestem parafianką od 1981 roku.

TEN Z LUDZI I CEGIEŁ MÓJ – NASZ – KOŚCIÓŁ W ANINIE

Wspomnienie pierwszego, drewnianego, anińskiego kościoła wpisane jest nierozzerwalnie najcudniejszymi zgłoskami w pamiętniku mojej serdecznej pamięci, razem z moim ojcem chrzestnym Marianem Zbrowskim, jego żoną Genowefą i bardzo zielonym, sosnowym, przepięknym wtedy Aninem. Do wujostwa, do ich gościnnego domu istniejącego do dziś w Aninie przy ulicy Homera 1, mała Aldonka, mieszkanka niedalekiego Goćławka, a później przedszkolanka i uczennica przedszkola i szkoły Sióstr Szarytek na Kamionku, przyjeżdżała na rodzinne uroczystości często i z największą radością.

Mateńka poznała ciocię i wujka tuż po zakończeniu wojny. Byli jej pacjentami. Ich znajomość przerodziła się w wielką przyjaźń. Wszyscy wiedzieli o tym, że przyszywany wujek zostanie moim chrzestnym ojcem. Na razie ochrzczona byłam tylko z wody, gdyż czekaliśmy z wiarą w to, że żyje, i utęsknieniem na powrót mego taty z niemieckiej niewoli.

Odwiedziny wujka w domu moich rodziców były bardzo częste, tak jak i nasze przyjazdy do Anina. Uczestni-

czyłam wtedy wielokrotnie w mszach świętych w anińskim kościele, a po nich w najcudniejszych, najbardziej kolorowych przyjęciach w ich domu. Przez długie lata wspomniano u nas, na Goćławku, potem w Komorowie, i te msze, i te spotkania. Myślę o nich ze wzruszeniem i dziś. Widzę tamten goćławsko-anińsko-kamionkowski czas mego dzieciństwa. Pamiętam te rozmodlone, radosne, bo w intencji solenizantów, te za dawno zmarłych członków rodziny, lecz najbardziej tę jedną, i do tego bardzo smutną, bo odprowadzoną przez księdza proboszcza Piotra Pieniążka za duszę mego ojca Sergiusza Romaniuka zamęczonego w obozie Mauthausen-Gusen. Tę straszną wieść o tym przyniósł nam list z Monachium, gdzie był już rejestr zbrodni wojennych, cztery lata po zakończeniu wojny.

Matka Boska Królowa Polski spoglądała na nas z ołtarza anińskiego kościoła, a promienie słoneczne wpadały przez świetlik-okienko i rozświetlały wnętrze. Była taka sama, choć zdecydowanie bardziej piękna i kolorowa niż ta z nadpalonego obrazka wyniesionego z Powstania Warszawskiego przez moją mateńkę, ze zburzonego domu jej rodziców na Bednarskiej. Tak jak i wtedy do małej dziewczynki, tak i dziś, choć drewniany kościół jest już tylko wspomnieniem z tego to obrazu, który pozostał w Aninie i znajduje się w sali na plebanii, płynie do mnie i siła, spokój, radość, ucieszenie i nadzieja.

Wtedy modlono się za mego tatę i w Aninie, i w szarytkowskiej kaplicy na Kamionku, i w kościele Matki Boskiej Zwycięskiej, też na Kamionku, i w naszym parafialnym wtedy kościele na placu Szembeka. W tym kościele zostałam nareszcie ochrzczona. Wujek Marian z Anina został naturalnie moim ojcem chrzestnym i wspaniale – jak mówiła moja babcia Mania – sprawował się w tej roli.

To on uratował od kąpieli w chrzcielnicy małą Aldonkę podczas jej chrztu – to cała opowieść. To on zarażał wszystkich swoją radością, pomysłami i umiłowaniem życia. To on bardzo często przyjeżdżał po mnie z Anina i odwoził mnie do przedszkola, i przywoził z niego do



domu swoim wspinałym samochodem. To w jego domu w Aninie matka czuła się wspinała i zapomniała o smutku, o ciężkiej pracy, o tak trudnej powojennej codzienności. To wreszcie on, wujek Marian, namówił moją mamę na kupno kawałka anińskiej ziemi dla Aldonki – stad Anin jest dziś moim po Gocławku i Komorowie kolejnym darowanym mi ogrodem – skrawkiem tego rajskiego, a kościół w Aninie...

...a kościół w Aninie, ten stary, drewniany, istniejący już tylko w pamięci i na kilku zaledwie zdjęciach, i ten nowy, wielki, nowoczesny, wpisany w sosnowy Anin ...

Budowę nowego rozpoczęto dokładnie w tym samym roku, w którym zaczęliśmy i my stawiać nasz dom na placu przy ulicy Niemodlińskiej. Mieszkaliśmy wtedy w Ursusie. Pamiętam ogromny trud i radość towarzyszącą temu naszemu wymarzonemu przedsięwzięciu. Nasi czterej synowie rośli, ja pracowałam w Klinice Okulistycznej w Szpitalu Bieleńskim, a mąż mój Jerzy, specjalista laryngolog, leczył ludzi i pracowicie budował naszą przystań. Pewnej niedzieli, podczas której byliśmy wszyscy zaproszeni do mego chrzestnego, zobaczyłam wielki, nowo wzniesiony kościół w miejscu dawnego, który

był mi tak bliski. Pamiętam ogromny smutek, że tamtego już nie ma. Nie byłam też obecna na pożegnaniu pierwszego, drewnianego, przeniesionego do innej parafii. Kolejnym ciosem dla mnie była nagła śmierć wujka Mariana.

W Aninie zamieszkaliśmy dopiero w 1981 roku i staliśmy się od razu parafianami nowego kościoła po wezwaniu Matki Bożej Królowej Polski. Tęskniłam za tym starym. Ten nowy, tak współczesny, tak inny od dawnego, tak różny od wielu jakże pięknych kościołów, które zdążyłam poznać, zdobywał powoli moje serce. I zdobył.

– Nasz Dom Boży to wielki namiot na pamiątkę tych biblijnych stawianych przez lud wybrany. To taka bazylika z podcieniami, arkadami, z kaplicą pamięci o świętym męczenniku Maksymilianie Marii Kolbe, z współcześnie malowanym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Ołtarz to Krzew Gorejący – Drzewo Życia – Jezus Chrystus. Historycznym znakiem, symbolem upamiętniającym zbrodnię wawerską podczas II wojny światowej, dokonaną przez Niemców na tutejszej ludności cywilnej w dniu 27 grudnia 1939 roku, jest wielki krzyż oderwany od frontowej ściany kościoła – mówił

nam o tym proboszcz na Aninie, ks. prałat Wiesław Kalisiak, przyjaciel naszej rodziny, kiedy wyznałam mu podczas kolędy swą tęsknotę za tym starym kościołem.

Od tego pierwszego w Aninie, 1981 roku, tyle do dziś upłynęło lat naszego razem z anińskim kościołem – tym z ludzi i tym z cegieł.

MISTYCZNE CIAŁO KOŚCIOŁA to my – ludzie, to nasi Kapłani: słudzy i sternicy, i zastępcy Chrystusa. Ich posługa ludziom to służba samemu Bogu. To oni, wierni powołaniu, są gwarantem tej jedności – i my, wszyscy ludzie, zgromadzenie Boże, my – parafianie, Ciało Mistyczne – to **RODZINA – LUD KAPŁAŃSKI** i **LUD KRÓLEWSKI – BOŻA RODZINA**. Bogu dziękujemy i dziękujemy za nią.

Nasz kościół jest jak góra, jedna z tych najważniejszych na ludzkiej drodze, na mojej drodze – jak tamta, tak ważna, Góra Tabor – i jest jak Droga – piękna i niełatwa, droga życia, droga do Cudu Narodzenia w Betlejem, Męki na Golgocie i Ta, wiodąca ku Wielkiej Niedzieli Zmartwychwstania. Wszystkie są twórcze – dają, wymagają i wszystkie budują. Od tylu lat codziennie Pan Jezus – nasz Król, Mistrz i Zbawiciel – niezależnie od tego, co dzieje się w nas, w Aninie, Komorowie, Polsce, na świecie, staje w chwili Przeistoczenia wśród nas – **PRAWDA. CUD. ŁASKA I NIEPOJĘTE...**

Pierwsze zdjęcie jakże piękne – to nasz pierwszy, drewniany, rozbudowany z kaplicy aniński kościół.

Ze wzruszeniem patrzę na zdjęcie 2 zamieszczone w książce O starym Aninie inaczej przez jej autorkę, aniniankę, panią Barbarę Wołodźko-Maziarską. Na tle domu stoją ksiądz proboszcz Piotr Pieniążek, koło niego jacyś młodzi ludzie. U ich stóp od prawej strony siedzą moja ciocia Gienia Zbrowska i ukochany mój ojciec chrzestny Marian Zbrowski. Tacy jak kiedyś – dobrzy, serdeczni i ciepło uśmiechnięci. Takich obraz noszę w sercu – zawsze.



ALDONA KRAUS

Drewniany pierwszy kościół w Aninie pod wezwaniem Matki Bożej Królowej Polski



W domu Lidii i Andrzeja Pilichów

Coś pięknego dla ludzi

W domu Lidii i Andrzeja Pilichów czują się jak w dawnym polskim dworze. Na ścianach obrazy w złotych rzeźbionych ramach, kominek, stylowe fotele, zegar, który co kwadrans wyśpiewuje melodie. I duży dębowy stół, który, mimo że to powszedni, marcowy dzień, przykryty jest białym obrusem.

jest przeprowadzenie rozmowy do druku z kimś, o kim wiem, że ma talent i za sobą wiele lat telewizyjnego dziennikarstwa, nagrody i odznaczenia, a w Komorowie jest niemal Człowiekiem Instytucją. Nieustannie tworzysz, inspirujesz, powołujesz do życia fundacje, stowarzyszenia.



– O takim domu rodzinnym i stole z obrusem marzyliśmy z mężem przez całe lata, od pierwszego dnia założenia naszej rodziny. Tęskniłam za domem, który kiedyś, przed laty, mojej mamie zabrała wojna – mówi Lidia. – Bo nawet nie kuchnia, nie to, co na stole – dodaje – ale bycie ze sobą razem przy stole jest dla nas najważniejsze. Żeby się spotykać, dzielić dniem, rozmawiać, śmiać się. Marzyliśmy tak długo, że przestaliśmy wierzyć, że ta tęsknota kiedykolwiek się spełni, a już nigdy nie przypuszczaliśmy, że nasz dom stanie w Komorowie. Że zamieszkamy w nim wszyscy, z moją mamą i dziećmi. Ten dom to spełnienie naszych marzeń, dar od Pana Boga, a stół jego sercem, przy którym toczy się nasze codzienne, wspólne życie.

– Przynam Ci się, Lidio, że mam tremę przed naszą rozmową, bo wprawdzie znamy się dość dobrze, ale co innego znajomość, a całkiem czym innym

Życie z pasją

Trudno sobie dziś wyobrazić komorowskie życie bez Lidii i Andrzeja, bez ich energii, pasji, bez temperamentu Lidii i mądrej łagodności Andrzeja. Nikt tak nie potrafił zjednoczyć do wspólnego działania tylu osób co oni. Lidia jest jak soczewka, która skupia – łączy ludzi różnych zawodów, różnych pasji, różnych poglądów politycznych. Razem z Andrzejem odkryli dla nas wiele ciekawych osobistości świata nauki, kultury, artystów: aktorów, malarzy, muzyków, profesorów mieszkających także tu, między nami. Stworzyli „Dom kultury bez murów”. Lidia bez wytchnienia „spisuje czyny i rozmowy” – że posłużyć się fragmentem z wiersza Czesława Miłozza. Odkrywa nas samych dla siebie i dla wspólnych działań, które zawsze mają jakiś ważny cel. Ratuje domy i ludzi od zapomnienia. Szlifuje Komorów, wydobywając na światło jego skarby, to, co w nim najlepsze.

Wieloelementowe „Wieczory w Wieczerniku”, „Muzy pod klonem”, spotkania, rozmowy, wystawy. Założyli liczące już 8 lat Towarzystwo Przyjaciół Miasto Ogród Komorów – Komorowanie. Przyłożyli rękę do powstania Kulturalnego Komorowa, a Lidia do powstania Grupy Parkinsonowców. Wydają książki o Komorowie i czasopismo zatytułowane „Miejsce”. Uratowali od zapomnienia jedną z pierwszych ofiar powstania warszawskiego, Majkę Krassowską, niezwykłą dziewczynę z Komorowa. Gdyby przeżyła, być może zostałaby wybitną pisarką. Jej dzienniki z lat 1942–1944, które pisała w wieku 14 i 15 lat, zdradzały ogromny talent literacki. Lidia opracowała jej wojenny pamiętnik i wydała książkę zatytułowaną „Zwierzenia”. Uratowała też od zapomnienia muzykę Władysława Łozińskiego, który podobnie jak Maja Krassowska zginął w Powstaniu Warszawskim.

Lidia i Andrzej – Mądrość i Temperament (że zacytuję ks. kard. Stefana Wyszyńskiego) – dzielą się swoimi rozlicznymi talentami: Andrzej – plastycznym, Lidia: dziennikarskimi, redaktorskimi i wiedzą reżyserską. Odkrywa dla nas nieustannie coś nowego i ciągle zarzeka się, „że już starczy, że kończy, że więcej nie będzie”, a po pewnym czasie znowu zaskakuje czyś nowym, „zmartwychwstaje” w nowej roli. Na spektakle reżyserowane i pisane przez Lidie przychodzą i przyjeżdżają do Komorowa ludzie nie tylko z naszej gminy. Przy okazji przytoczę recenzję rzeszowskiego dziennikarza Jakuba Lisieckiego, która w części oddaje to, co czują uczestnicy owych działań, w tym także ja, pisząca te słowa:

Lidia Kulczyńska – Pilich w wymarzonej domu pełnym rodzinnych pamiątek



„Żeby w nim uczestniczyć (w „Wieczorze w Wieczerniku”), przyjechałem do Komorowa tylko na jeden dzień. Musiałem pokonać (w obie strony) prawie 600 km i tego nie żałuję, bo w czasach, o których mówię, że są aspołeczne, zobaczyłem prawdziwe, spontaniczne, autentyczne zaangażowanie w działanie i to nie jednej, ale wielu osób. Na próbie i w czasie oglądania misterium przecierałem oczy ze zdumienia. Aby mógł powstać ten naprawdę profesjonalny spektakl, za „bożą walutę” pracowało około stu osób. Ludzie o różnych profesjach robili zaskakująco różne czynności, o które nikt by ich nie podejrzewał. Wszystkich ta praca bawiła. Wszystkich cieszył dobry koniec. Gratuluję Parafii jej Parafian i Księdzu Proboszczowi takiej TRZODY. Szczerze żałuję, że nie jestem częścią tej kompanii. Życzę kolejnych równie udanych „Wieczorów w Wieczerniku”.

[J. Lisiecki, W miejsce recenzji, czyli jeszcze o Misterium Krzyża „Płomień Pana Przedwiecznego”, MP nr 45 z 23 V 2004 r.]

– Lidio, zacznę od banalnego pytania: po co to wszystko? Czy to tylko działanie dla działania, czy coś więcej? A może przyświeca Ci jakaś szczególna idea?

– Pozwól, że odpowiem Ci wierszem, który dziś rano usłyszałam w radio. Dzień ten jak zwykle zaczęłam od dwugodzinnego słuchania (na fali 102.6 FM) Poranka Wnet. Robię to (jeśli mogę) każdego dnia od 7 lat, od poniedziałku do piątku. Budzę się o 7:00 rano. Wsadzam słuchawkę do komórki i do uszu – no i do godziny 9:00 mnie nie ma, bo słucham. Dziś – przyznaję! – robiłam to niezbyt uważnie. Dlatego, że myślałam o naszym spotkaniu... Ale bardzo poruszył mnie i na dłuższą chwilę zatrzymał moją uwagę wiersz Tomasza Wybranowskiego pt. „Spowiedź nie w porę, czyli klatka”, który Autor osobiście odczytał na zakończenie audycji. Weszłam więc do internetu i spisałam go z taśmy. Jeśli podzieliłam tekst niezgodnie z intencją Poety lub coś pomyliłam – z góry przepraszam, ale nie mogłam oprzeć się pokusie, by właśnie od odczytania Ci tych niebanal-



Andrzej Pilich w swojej pracowni

nych słów zacząć naszą pogawędkę:

„W magazynie rachunków sumienia/Kreślę na nowo obraz/Mojego prywatnego Boga/Patrzę w Jego niebyt/Bo wszystkim On przecież/Gdzie w Andres nowej kreacji/Wciskam bieg uspokojenia/Skrzynia biegów losu nieznanego stawia opór/Różny Wiatrów nie ma/Spokój wyblakł jak stary plakat/Na ścianie oczekiwania-/W okiennym zaułku/Na skrzydłach martwego motyla/Świt pijany złożył pocałunek/Nie ostatni i nie pierwszy/Znośna ciężkość Słońca/Zbliża ściek horyzontu/Wytrawia grzech po grzechu/Rozgrzesza nocne poruszenia/Cofa starą taśmę telerekordingu/Jedyny dowód/Że ja to ja czyli ON/
A jeśli nie ja to kto”.

– Tak to bardzo pasuje do Ciebie... Odkryć Komorów, postawić go przed naszymi oczami... przed – waham się, ale tylko troszkę – przed światem. Opowiedz, jak się zaczęło owo odkrywanie?

– Zawsze lubię wiedzieć, gdzie jestem, szczególnie wtedy, gdy „wiatry” przywieją mnie na jakieś miejsce na dłużej. Ale w odkrywaniu dla siebie Komorowa dobry początek tak naprawdę zaczął się od „Magazynu Parafialnego”. Jednak zanim do niego trafiłam, przeżyłam depresję i chorobę nowotworową. Tak było. Przez wiele lat (40) pracowałam w Telewizji Polskiej. Zaczęłam od Pegaza, później była Kronika Kulturalna, Redakcja Społeczna i Młodzieżowa. Kiedy w naszej Firmie zaczął „królować”

pan prezes Maciej Szczepański, chciało mnie, jak wielu innych, wyrzucić z roboty. Nie doszło do tego tylko dlatego, że spodziewałam się dziecka. Po powrocie z urlopu macierzyńskiego bez „konsultacji” przydzielono mnie do Redakcji Rolnej. Krótka piłka: „Rolna albo fora ze dwora”. Tak ot, zamiast biegać na premiery, rozmawiać z twórcami, musiałam swoje ukochane kapelusze zostawiać na tylnym siedzeniu telewizyjnego robura i ruszyć z kamerą w pole, zaglądać do obór, chlewów i kurników... To był szok dla dziewczyny z miasta, która skończyła polonistykę na UW, pracę magisterską pisała u prof. dr. hab. Romana Taborskiego z teatru, a na Studium Dziennikarskim z historii prasy. Pomyślałam z przerażeniem: „co ja pocznę w tej nieszczęsnej Rolnej, jak nawet nie wiem, czy kartofle się sieje czy sadzi”.

– Jednak sobie poradziłaś!

– Tak, po pewnym czasie... Jednak pamiętam, że mimo skończonej na Studium Dziennikarskim specjalizacji telewizyjnej chciałam porzucić to „medium”. Wtedy telewizja była tylko jedna, ta państwowa, więc zaczęłam chodzić po redakcjach prasowych i szukać tam pracy, ale za mną szedł jakiś „smród” i niestety wszystkie zamknęły przede mną swoje drzwi – nawet redakcja „Przyjaciółki”! Cóż, musiałam sobie jakoś poradzić, znaleźć w obcej mi tematyce (bo warsztat przecież był ten sam) swoją niszę.



Zajęłam się historią ruchu ludowego. Tak poznałam wielu ciekawych ludzi, zaczęłam o nich robić programy publicystyczne, filmy, widowiska, reportaże... Przepracowałam tam (z małym wyjątkiem) całkiem szczęśliwe 21 lat. Kawał czasu. Kiedy jednak skończyłam 61 lat, postanowiłam stać się emerytką.

– Dlaczego? Czy coś się wydarzyło? Który to był rok?

– Rok był 2001. Owszem, wydarzyło się, ale dużo wcześniej, jakiś czas po pierwszych wolnych wyborach 1989 roku. Ale było minęło, nie ma o czym gadać...

– Dlaczego?

– Bo mogłoby wyglądać, że się skarżę, ubieram w pawie piórka, a tego nie lubię...

– Proszę, a nawet nalegam...

– Daj czas, niech pomyślę...

[Do rozmowy wracamy po dwóch dniach.]

– To, co stało się później, zaczęło się od mojego poznania Stanisława Mierzwy, przedwojennego adwokata, działacza ruchu ludowego, sekretarza Wincentego Witosa, osadzonego na Łubiance, sądnego w procesie szesnastu. Robiłam film „Marszałek całego sejmu” o Macieju Rataju. Potrzebowałam wypowiedzi kogoś, kto go znał i latem 1981 roku pojechałam do Krakowa z listem polecającym od Marii Maniakówny – także wielkiej postaci ludowców...

– Dlaczego z listem polecającym?

– Żeby zachciał ze mną rozmawiać, bo pan Stanisław w ogóle nie rozmawiał z dziennikarzami...

[Lidia zatrzymuje się z wahaniem, jakby jeszcze chciała coś dodać.]

– No, no, mów dalej, przepraszam, że przerwałam...

– Przez trzy dni z rozdziawioną buzią słuchałam tego, co do mnie

mówił ten niewątpliwie wielki Polak i bardzo mądry człowiek. Usłyszałam tyle, że w przeciwności do Andrzeja na wielu ludzi Solidarności zaczęłam patrzeć bardzo sceptycznie. Później, po latach, kiedy za sprawą właśnie owego ruchu zaczęły się przemiany, było mi zwyczajnie wstyd. Wyrzucałam sobie to, że stałam z boku, gdy inni ryzykowali. Dlatego po swoim, zgoła po amatorsku, żeby nie powiedzieć głupio, postanowiłam się włączyć.

– W co?

– W budowanie nowego. Ja, dziennikarka niszowej redakcji rolnej, wykorzystując swoją pozycję, postanowiłam zacząć pracę na rzecz odbudowy klasy średniej.

– Oooo! Ambitny program. Przyznaję: nie do wykonania w pojedynkę i z godziny na godzinę, ale słucham: jak się za to zabrałaś?

– Zaczęłam robić reportaże o ludziach, którym, jak uznałam, „chce się chcieć”, którzy coś już osiągnęli, mieli pozycję zawodową, własny dom, a przede wszystkim minimum trójkę dzieci. Cykl zatytułowałam „Dom otwarty”, a kiedy zebrałam 12 „sprawiedliwych”, dwanaście wspaniałych rodzin, doprowadziłam do założenia stowarzyszenia promującego wartości konserwatywne o nazwie „Klub Domu Otwartego”.

– Konserwatywne stowarzyszenie? Tak pod bokiem Telewizji?

– No właśnie i to nie tylko pod bokiem, ale wręcz w jej środku. Jak bardzo byłam naiwna! Z pozoru dojrzała kobieta, matka dzieciom – jak mogłam być tak szalona? To oczywiście, że moje działanie było skazane na porażkę. Powiem więcej: nie miało prawa ująć mi płazem. Dostałam mocno po krzyżu. Odcierpiałam swoją głupotę (nie mówię o postawie, ale o obranym sposobie działania). Po dwóch latach bezrobocia zostałam przywrócona na antenę z towarzyszącym programowi „Dom otwarty” konkursem „Nasz człowiek na urzędzie”, ale już bez stowarzyszenia i tych pięknych opowieści filmowych o ludziach. Coś we mnie pękło. Zbiegło się to w czasie z nadejściem chudych dni dla redakcji. Drastycznie zmniejszono nam czas anteny. Zdecydowałam się (choć tym razem nikt mnie nie poganiał) na opuszczenie telewizji. Naiwnie myślałam: nareszcie odpocznę, będę miała czas dla rodziny, na podróżowanie, na czytanie. Nic bardziej złudnego, bo nagle jednego dnia jakby zgasty nie tylko światła telewizyjnych kamer, ale wszystkie światła w mojej rzeczywistości. Na dodatek okazało się, że jestem chora na to paskudne „coś”. Wcześniej Andrzej przeszedł poważną operację. Zaczęła się walka o Jego zdrowie, szpitale, potem przyszło załamanie. Moi najbliżsi byli przeraże-

Lidia i Andrzej Pilichowie z dziećmi i wnukami. Rodzina w komplecie. 49 Rocznicą ślubu 1 X 2016r.



ni, bo godzinami siedziałam przed telewizorem. Odpalałam papierosa od papierosa. Pograżałam się w pustce. Nic mnie nie cieszyło – wymarzony dom, dzieci, wnuki, nawet odzyskane zdrowie. Czułam się zużyta i nikomu niepotrzebna. Ja, człowiek, który kochał pracę, pograżałam się w niebycie. Ale Andrzej, kochany Andrzej, dzieci, synowa Dorotka i moja Mama nie dali za wygraną. Mobilizowali, żebym coś zaczęła robić. Stan trwał i nie pomagały żadne antydepresanty. Jak ryba bez wody dusiłam się bez pracy, bez wytyczonego celu działania. Jednego dnia powiedziałam: „basta” i poprosiłam naszego wikariusza, ks. Franciszka Longchamps de Béreria o ni to rozmowę, ni spowiedź. Zpracowany ksiądz znalazł dla mnie czas. Wylałam przed nim wszystkie swoje utrapienia, a on, mądry kapłan, co miał ze mną zrobić? Tłumaczył jak dziecku, że wszystko pochodzi od Boga, każde dobro. A to, co dziś uznaję za złe dla nas, z perspektywy czasu nabierze innego wymiaru... Chyba jednak nie trafiały do mnie Jego słowa i Ksiądz to dostrzegał. Co miał zrobić? Zaproponował, abym pojechała na rekolekcje ignacjańskie do jezuitów, do Częstochowy.

– Pojechałaś?

– Pojechałam, mimo że nie miałam pojęcia, kim był św. Ignacy Loyola i na czym polega stworzona przez Niego metoda Ćwiczeń Duchowych. Pojechałam i po tygodniu doświadczyłam pierwszego cudu. Bezwiednie, bez żadnych wcześniejszych postanowień, odszedł ode mnie nałóg palenia. Z dnia na dzień przestały mi smakować papierosy. Poczulałam się tak, jakbym nigdy nie paliła. Co więcej: przestało mi przeszkadzać, że ktoś inny obok mnie pali i tak jest do dziś. „Oho! – pomyślałam – weszłam na jakąś nową, nieznaną mi ścieżkę. Na drogę wyzwolenia”. W Częstochowie odzyskałam silne, silniejsze niż do tej pory poczucie, że „wszystko mogę, w Tym, który mnie umacnia” (Flp 4,13), bo „Jeśli Bóg z nami, któż przeciw nam” (Rz, 8,31–39). Moim przewodnikiem w czasie rekolekcji był wspaniały ks. Ojciec Krzysztof Osuch, który niczemu się nie dziwił, wszystko rozumiał, pomagał w Ćwi-



Andrzej Pilich z Wnukami Zosią i Stasiem oraz młodszym Frankiem i Łucją

zeniach, w zrozumieniu mojego tu i teraz, w dawaniu zgody na to, co niesie życie. Powoli znajdowałam wskazówki na wprowadzanie w codzienność przytoczonych wyżej zawołań św. Pawła. Jednak nadal szukałam dla siebie zajęcia... o czym bez ustanku na codziennych 20-minutowych spotkaniach mówiłam. Zdesperowany o. Krzysztof zaproponował, bym podjęła „długofalową krucjatę”, stosując akt strzelisty, bym kilka razy dziennie wołała: „Boże, daj mi pracę”. Zrobiłam kwadratowe oczy, ale do zalecenia pokornie się zastosowałam. No i tak niedługo po tych rekolekcjach „przyszedł” do mnie „Magazyn”.

– Przyszedł? Jak to „przyszedł”?

– Długa opowieść. Dla mnie nieco traumatyczna, bo wpadłam do niego (do „Magazynu”) trochę jak bomba, która najpierw spowodowała spore zniszczenia w zgranej, fajnej grupie ludzi zgromadzonych przez twórcę pisma, ks. Mariusza Zapolskiego. „Dzieciaki”, które tworzyły „Magazyn”, były bardzo zaangażowane w to, co robią. Pracowały pełną parą, najlepiej jak potrafiły. Dziś wiem (dlaczego wtedy o tym zapomniałam?!), że wchodząc w nowe relacje, na początku koniecznie musimy kierować się zrozumieniem sytuacji i dobrem drugiego człowieka, a dopiero na końcu powinna być tak wtedy dla mnie ważna fachowość. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, ile bałaganu narobiłam. Równocześnie

też zaczęłam dostrzegać zalety Komorowa jako bardzo ciekawego miejsca do życia. Zaczęłam dostrzegać, że tę wspólnotę w dużym stopniu tworzą ludzie, dla których rodzina jest wartością samą w sobie. Na takiej bazie łatwiej wydobyć talenty i radość dzielenia się nimi z innymi, choć piekliłam się, że ci wspaniali ludzie tworzący „Magazyn” nie bardzo znają się na sprawach wydawniczych. Nie znają, bo i skąd mieli wiedzieć, jak ważne są podpis pod zdjęciem, tytuł, podtytuł, akapit, inicjał, wyjustowanie. Dla nich były bez znaczenia – znaczenie, i słusznie, miał cel dzielenia się sobą z innymi. W tym czasie we mnie równoległe ze szlifowaniem „Magazynu” zaczęło się powolne „dłutowanie” mojej duszy. Pisząc do „MP” i redagując go, równocześnie formowałam moją wiarę, moje życie duchowe. Odkryłam dla siebie wiele tajemnic rozumienia Słowa Bożego, przebiegu liturgii Mszy Świętej, istoty bycia członkiem Kościoła.

– Ale to Ci nie wystarczało. Zaczęła działać stworzona przez Ciebie Grupa Rapsodyczna!

– Stworzona przez wielu z nas pracujących i współpracujących z „Magazynem”. Niemal od pierwszego dnia pracy w „Magazynie” wiedziałam, o czym głośno nie mówiłam, że odgrywa on rolę opiniotwórczą i wokół niego gromadzą się ludzie o niebanalnym potencjale, i że może on odegrać ważną rolę w tworzeniu



swoistej elity intelektualnej Komorowa. By to się stało, trzeba sięgnąć po instrumenty, które pobudzą także innych twórców do wielotorowego działania. Zaczęłam ryzykownie! „Wyskoczyłam” z imprezą o nazwie „Muza pod klonem”. W jej realizację nie tylko zaangażowałam wszystkich „Magazynierów”, nie tylko przyciągnęłam swoich telewizyjnych kolegów, władze gminy i Pruszkowa, ale także całą swoją rodzinę i otworzyłam dla sąsiadów nasz własny dom. Po „Muzach”, dzięki życzliwości naszego Proboszcza, księdza prałata Andrzeja Perdzińskiego, przyszły „Wieczory w Wieczerniku” – dokładnie było ich dwanaście. Ściągaliśmy do Komorowa duże nazwiska świata kultury: muzyków, śpiewaków, literatów. Jeden z „Wieczorów” oparliśmy na pięknej poezji Ernesta Brylla i towarzyszących jej obrazach „Jasnogórskiej Golgoty” Jerzego Dudy-Gracza, na który przyjechał sam Wielki Poeta wraz z swoją żoną Małgorzatą. Innym razem na nasze zaproszenie przyjechał z Londynu do Komorowa ostatni prezydent na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski z małżonką, Panią Karoliną, który dodatkowo zaprosił na ten dzień swego przyjaciela ks. Zdzisława Peszkowskiego. Kościół pękał w szwach, a po widowisku, podczas spotkania, nie było końca rozmowie o Ojczyźnie. Oszałamiający był „Wieczernik” zatytułowany „Trele Majowe”, na którym Piotr Rodowicz (prywatnie bratanek sławne-

go „Anody”) – kontrabasista, wybitny kompozytor i dżezmen – dokonał dla nas przeróbek pieśni Maryjnych i z nimi w Komorowie wystąpił.

– Lidio, skąd Ty i Twój Mąż czerpicie siły do tak wymagających czasu i sił działań?

– Odpowiedź nie jest prosta. Od początku zamieszkania w Komorowie – od 1996 roku – mieliśmy przeświadczenie, że ten dom po coś „dostaliśmy”, że w Komorowie nie jesteście przez przypadek, że mamy tu jakieś zadanie do wykonania. Zresztą w przypadki oboje z Andrzejem nie wierzymy, tym bardziej, że dom „dostaliśmy”, w momencie gdy już przestaliśmy go pragnąć. Dziś z perspektywy lat wiem, że praca w „Magazynie” była dla mnie darem Nieba, wspaniałym czasem w życiu moim i naszej rodziny. Poznaliśmy wielu ludzi, którzy do dziś są naszymi najprawdziwszymi przyjaciółmi. Ja sama rozwijałam się twórczo. Pisałam scenariusze, obmyślałam całość, mój mąż Andrzej i Andrzej Pietraszek robili scenografie. Musimy jeszcze przywołać Lecha, Piotrkę, Marka, Ewę, Wojtkę, Anię i Witka Błaszczaków, Bakszów... Stop całej setki, która pracowała łeb w łeb z nami, nie wymienię. Pamiętam, jak do jednego z „Wieczerników” (2004 r.) Andrzej malował na kartonie korę drzew, żeby z kościelnych kolumn zrobić pnie brzoź. Prób było tyle, ile było, słowem co kot napłakał,

wszystko po drodze pozornie się waliło, a jednak na końcu szło, jak należy. Boże, ile ci ludzie robili! Leszek Skupiński stał się naszym wytrawnym elektronikiem. Montował filmy i czuwał nad tzw. projekcją tylną, czyli puszczał je na skonstruowanym przez siebie telebimie. Marek Słodkowski robił za stolarza, Krzysio Rodak nie tylko wszystko dokumentował, ale robił za elektryka i przy prostszych widowiskach całość nagłaśniał. Marcin, nasz syn, wspierał go. Wojtek Irmiński był człowiekiem od wszystkiego. Ileż pięknych rzeczy w swoim zakładzie zespawał Piotrek Zieliński. Ludzie naprawdę dokonywali cudów. Wszyscy pracowali z sercem i poświęceniem. Czuliśmy, że mieszkańcom Komorowa przywracamy pamięć, że budujemy inny wymiar Wspólnoty. Że jesteśmy rodziną. Ileż wartościowych relacji się zrodziło – tylko my wiemy. Powiem ciut patetycznie: czułam, że sam Bóg do jakiegoś Jemu wiadomego mu celu nas prowadzi. Taka świadomość dodawała nam siłę do działania.

– Andrzej – zwracam się do Andrzeja, który opuścił swoją pracownię i dołączył do nas – nie mogę oprzeć się pokusie, aby nie zapytać Cię o początki Waszej znajomości. W tym roku mija już 50 lat Waszego wspólnego życia!

[Na tak postawione pytanie uśmiechają się oboje. Nie od razu dają się sprowokować do odpowiedzi.]

– Tak, nasza rodzina ma już 50 lat – zamyśla się Lidia. – To Andrzej był tym, który spacerował z wózkiem najpierw z Marcinem, mieszkaliśmy wtedy w Milanówku. W 1971 roku sprowadziliśmy się do bloków w Pruszkowie, w 1975 roku przyszło na świat drugie nasze dziecko – Mateusz. Andrzej nadal był rodzicem na zawołanie. Tym razem chadzał często z młodszym synem po Komorowie. Ani przez moment nie spodziewaliśmy się, że będziemy tu właśnie mieszkać.

[Te wspomnienia powodują, że w oczach Lidii pojawiają się łzy wzruszenia...]

– Byłam „ważną” – tak mi się wtedy wydawało – dziennikarką, niezależną, kontestującą Wiarę i to Andrzej miał więcej czasu na matkowanie niż

Lidia i Andrzej Piłichowie. Rodzinne szczęście w Milanówku. 11 Listopada 1968 rok.





ja. Nie wiem, czy chłopcy z tego zdają sobie sprawę, ale wtedy to On był strażnikiem Wiary w naszej rodzinie. Andrzej kupował mi w prezencie a to medalik – o ten, który od lat noszę na szyi, to też prezent od Męża... – Lidia pokazuje zawieszony na łańcuszku srebrny medalik Najświętszej Maryi z Dzieciątkiem – ...a to krzyżyk.

– Lidio, wróćmy jednak do pytania o początek Waszej wspólnej drogi. Jak się poznaliście?

– Już w Szczecinku, w Liceum im. Ks. Elżbiety, byłam redaktorem naczelnym międzyszkolnej gazetki „Młodzi idą”. Sztuki dziennikarskiej i edytorskiej uczył nas świetny pedagog i polonista naszej szkoły – pan Edward Chmaj. To dzięki niemu na dwa lata przed maturą wiedziałam, kim chcę być. Zresztą dzięki pracy w tej gazetce byłam reprezentantem województwa koszalińskiego na pierwszym za żelazną kurtyną Festiwalu Młodzieży i Studentów w Wiedniu i poszłam na polonistykę UMK w Toruniu, ale Studium Dziennikarskie było w Warszawie, więc by przywyknąć do stolicy po trzecim roku, przeniosłam się na UW. Po zrobieniu absolutorium Mama oświadczyła, że jeśli chcę dalej studiować, to już na własną rękę. Krótko mówiąc: odciełała mnie od dotacji. Trzeba było imać się sprzątaniam, korepetycji, ale przede wszystkim dorabiałam jako szefowa warszawskich klubów młodzieżowych, w których także pracował Andrzej. Za Andrzejem, już absolwentem ASP (dyplom z wyróżnieniem na Wydziale Grafiki Użytkowej u prof. Juliana Pałki), oczyma wodziła niejedna dziewczyna. Był smukłym, bardzo ciemnym szatynem. Okazało się, że ten przystojny chłopak będzie mi służbowo podlegał – i tak się zaczęło. Najpierw wspólna praca, później coraz częstsze spacery Aleją Róż do Łazienek.

– Lidia urzekła mnie niemal od pierwszego spotkania – dopowiada Andrzej. – Pamiętam, gdy ją pierwszy raz zobaczyłem, miała na sobie zieloną sukienkę z górą w drobną kratkę. Ujęła mnie niezwykłą skromnością i spokojem. I niemal od pierwszej chwili wiedziałem, że chcę z nią być na całe życie.

– Andrzej nie tylko był przystojny, ale pięknie tańczył – wspomina Lidia. – Kiedy zaczynał wywijać rock and rolla, wszystkie stoły i krzesła szły pod ściany. To była burza tańca. Porывwał, zarażał radością, przy tym był dowcipny, wesoły, ale też bardzo pracowity i odpowiedzialny.

– Ale boję się świata – uśmiecha się Andrzej. – Uciekam od ludzkiej agresji. I przed taką nieprzyjazną codziennością świata osłania mnie właśnie Lidka, która pewnie dlatego po latach nieco zhardziła.

– Po roku wodzenia się za rączkę Andrzej z pękiem czerwonych róż przykleknął i poprosił rodziców o moją rękę. Oświadczyły zostały przyjęte, ale Mama nie była przekonana do mojego wyboru. „Lidzia, czy aby wiesz, co robisz? Mąż artysta, malarz, jaka to przyszłość – bieda, absynt i kobiety, a na dostatek Twój wybranek to niemowa. Będziesz miała smutne życie”. Andrzej oczywiście był onieśmieszony, żeby nie powiedzieć: przerażony, a Mama patrzyła na bohemę artystyczną oczyma czytanej w romansach pensjonarki. Na szczęście żadna z wróżb się nie spełniła i ostatecznie Andrzej był jej ukochanym synem. Kochanym i szanowanym na równi z własnym.

– Pozwól, Lidio, że raz jeszcze zapytam o dom. Dlaczego o nim marzyliście? Ze zwykłej chęci posiadania? Czy może to rodzinna tradycja – mieszkać we własnym domu?

– Ogólnie rzecz ujmując, własny dom to pierwszy krok ku osobistej wolności. Owszem, rodzice Andrzeja mieli w Otwocku bardzo skromny domeczek. Natomiast ja, jak wcześniej wspomniałam, pochodzę z rodziny, której wojna wszystko, absolutnie wszystko zabrała. Ojciec mojej Mamy był wysokiej rangą kolejowym zawiadowcą węzłowej stacji. Był dom z trójką dzieci. Babcia nie pracowała i miała do pomocy gosposię i dziewczynę do ogrodu. Mało kto wie, że wybuch II wojny światowej dla wielu Polaków na Pomorzu, którzy byli na specjalnej niemieckiej liście, znaczył tyle, że w ciągu paru chwil musieli opuścić swój dom. Pożegnać się z całym dobytkiem. Wyjść z domu, zmatawiając w zamku klucz w dziur-

ce wejściowych drzwi. Dziadek został zdegradowany do roli młotkowego (badał jakość osi wagonów oraz torów) i niedługo wywieziony do obozu koncentracyjnego, z którego już nie wrócił. Najstarszy brat Mamy zastrzelony, drugi w lesie. Rozbita rodzina, jak wiele innych polskich rodzin, nie była w stanie się pozbierać. W czasie okupacji Mama zawarła nieudany związek. W 1945 roku moją Babcie i moją dziewiętnastoletnią Mamę z małym dzieckiem bez środków do życia „odnalazło wyzwolenie” na tzw. „ziemiach odzyskanych”. Kiedy podrosłam, obiecałam sobie, że za wszelką cenę muszę odbudować utracony dom, przede wszystkim ten z pamiętkami, tradycją, dużą rodziną wokół stołu z białym obrusem na stole nie tylko w święta.

– No i udało się. Jesteście 50 lat razem. Z tego 20 lat przeżyliście w tym domu. Jak wytrwać tyle czasu z sobą? Jakiej rady udzielilibyście tym, którzy dziś rozpoczynają wspólne życie? Co wam daje siłę?

– Małżeństwo to nie ring, to nie pole walki. To umiejętność kompromisów, wybaczenia, akceptowanie siebie w swojej różności – mówi Andrzej, ważąc każde słowo. – To cieszenie się sukcesami drugiego. Wspieranie drugiej osoby nawet w jej pogoni za niekoniecznie także naszymi marzeniami.

– Co nam daje siłę? – zastanawia się Lidia. – Wiele dużych i małych szczęśliwych trafów. Te duże to nasze dzieci i ich rodziny. Małe – radość ze wspólnego wieczornego czytania książek. Duże świadomość, że łączy nas prawda i zaufanie. Małe – zachowany w sercu i oczach obraz smukłego chłopaka, z którym podziwiałam kwiaty w Botanicznym Ogrodzie.

[Rozmawiamy kolejną godzinę, pijemy kolejną filiżankę kawy. Zegar wyśpiewuje kolejny kwadrans. Robi się bardzo późna pora.]

– Zapytam jeszcze o nowe plany, bo wiem, że oddałaś, Lidio, Towarzystwo Komorowanie w młode ręce, ale to wcale nie znaczy, że zamierzasz odpoczywać...



– To prawda. Właśnie rusza robota w nowo powołanej przez nas Fundacji Miejsce...

– *Powołanej przez...*

– Przez całą naszą rodzinę, przez całą szóstkę, bez wnuków. Na rozruch mogłem przeznaczyć tylko jedną emeryturę, bo nie jestem zamożnym człowiekiem... – mówi Andrzej.

– I dziesięć pastelów z przeznaczeniem na aukcję – dodaje Lidia.

– *I po co Wam ta nowa praca, nowe zmartwienia, skąd wziąć ludzi i pieniądze na realizację nowych projektów?*

– No właśnie?! Podobne pytanie w ubiegłą niedzielę zadał nam nasz siedemnastoletni wnuk Staś. Zaczynaliśmy się po mszy świętej na progu kościoła, by z Marcinami umówić się na wieczorną herbatę. W pośpiechu rozmawiamy o żałośnie przyciętych kasztanach, o zbliżających się obchodach 100-lecia odzyskania Niepodległości i planach na nie Fundacji. W pewnej chwili stojący z boku Staś (skądinąd mądry, odczytany młodzieniec) pyta: „Po co babcia to wszystko robi?”. Odpowiadam: „No sama nie wiem, chyba dlatego, że jeśli nie ja, to kto?”. „To nie jest odpowiedź” – stwierdził nasz wnuk. Ugryzłam się w język, na końcu którego miałam kolejną babciną mądrość.

– *Jaką?*

– Ot, takie spostrzeżenie, nie wiem czy słuszne. Pewnie je gdzieś zasły-

szałam. Wiadomo, że świat od jego stworzenia targa niekończącą się wojną między Dobrem i Złem. Zaciekle Zło nie opuszcza pola, a Dobro? Dziś Dobro coraz częściej wyręcza się Obojętnością.

– *Wkrótce Wielkanoc. Przy świątecznym stole, jak co roku pewnie, zgromadzi się cała rodzina. Jak będzie przebiegał ten dzień?*

– Prosto i jak w wielu domach – tak jak poprzednimi laty. Jak co roku przyjdą synowie: Marcin z żoną Dorotą i dziećmi: Kamilem, Zosią i Stasiem. Mateusz z żoną Anią i naszymi wnukami – Franciszkiem i Łucją. Odmówimy modlitwę, wspomnimy tych, co odeszli, podzielimy się święconym jajkiem, będziemy sobie życzyć miłości i sił do pokonywania trudności, sił do codziennego zmartwychwstania. Ten rok, jak zauważyłaś, Ulu, jest dla nas wyjątkowy, bo dobry Bóg pozwolił dożyć Złotych Godów. Dozwoił na świętowanie 50. rocznicy powstania Naszej Rodziny, za co Panu Bogu z serca dziękujemy.

– *Moich rozmówców proszę na koniec o przepisy na ich ulubione dania.*

– Nie jestem mistrzynią kuchni. Co nie znaczy, że nie gotuję – śmieje się Lidia. – Nie mam zeszytu z babcynymi sekretnymi przepisami na ciasta i pieczywo. Na co dzień jadamy skromnie. Lubię kluski pomorskie, placki ziemniaczane, rosół, gołąbki. Takie niewyszukane potrawy. Ale lubię też serniki Gabrysi, krokiety z pie-

czarkami Oli, chleb z bakaliami Ali i tym ostatnim przepisem, za jej zgodą, dzielę się z Czytelnikami „Magazynu Parafialnego”, życząc wszystkim Radosnych Świąt Zmartwychwstania!

SŁUCHAŁA URSZULA IMIENIŃSKA

*Nieautoryzowane Post Scriptum
Coś pięknego dla ludzi*

Żegnam gościnnie dom Lidii i Andrzeja. Dom, w którym spotkały się Mądrość i Temperament. Bo Lidia i Andrzej to niezwykli ludzie. W czasach, kiedy wszyscy żyjemy z głowami w dół, pochyleni nad swoimi laptopami i smartfonami, nad powiększaniem ilości posiadanych rzeczy, nad gromadzeniem przedmiotów i wrażeń, nad codziennością, która pochłania bez reszty, Lidia i Andrzej patrzą, jakby ponad naszymi głowami. Odkrywają przed nami prawdę i wartość miejsca, w którym żyją. Swoją pracowitością, niezmordowaniem i pasją tropicielską wpisują się w krąg wielkich dziennikarzy, jak choćby angielski publicysta Gareth Jones, który odkrył przed Europą prawdziwe rozmiary głodu na Ukrainie, czy Malcolm Muggeridge, który nawrócił się po spotkaniu z Matką Teresą i odkrył tę Wielką Świętą dla świata, publikując o Niej reportaż telewizyjny pt. „Coś pięknego dla Boga”. I Lidia, i Andrzej tworzą tu, gdzie mieszkają. Tworzą coś pięknego dla ludzi. Andrzej z rozważą i mądrością. Lidia z pasją i temperamentem.

URSZULA IMIENIŃSKA

Przepis Alicji Wołoszyn na ulubiony przez Lidie chleb z bakaliami

Składniki:

1 kg maki tortowej
1 litr przegotowanej, ciepłej wody
3 torebki suszonych drożdży Oetkera
2 łyżki soli
1 opakowanie migdałów
2 łyżki majeranku
1 niepełna łyżka ziół prowansalskich
100 g rodzynek
100 g ziarna słonecznika
1 łyżeczka kminku

Wykonanie:

Wymieszać składniki na sucho, wlać wodę i zamieszać. Wyrobić ciasto, dolewając trochę wody, aby było luźne. Przełożyć ciasto do przygotowanego uprzednio prochu lub blaszek. Najlepiej wyłożyć naczynia papierem do pieczenia. Czekamy, aż ciasto wyrośnie – około 1 godziny. Możemy naczynie z ciastem włożyć do kąpieli ciepłej. Pieczemy 1 godz. 35 min w prochu z podwójnym ogrzewaniem (górze i dół).

Smacznego!

Dołączam się do życzeń
Alleluja Chrystus Zmartwychwstał! Prawdziwie Zmartwychwstał!



Trzeba mieć wiarę

Święty Augustyn z Hippony (354-430), jeden z ojców i doktorów Kościoła, napisał, że kto śpiewa, modli się dwa razy. Sam śpiew był początkowo skłonnością do naśladowania dźwięków przyrody, wydawania własnych, miłych dla ucha odgłosów i wreszcie komponowania pieśni. Prosta, początkowo homofoniczna forma muzyki stopniowo przekształcała się w bardziej złożoną, trudniejszą sztukę polifonii. A w kościele śpiew polifoniczny, wielogłosowy, to faktycznie modlitwa pomnożona wielokrotnie.

Zmarły w roku 2013 muzykolog i dziennikarz Polskiego Radia, Piotr Orawski, na temat polifonii powiedział: Wymyślona gdzieś w odległym średniowieczu jako sposób pojmowania i rozumienia sztuki dźwięku, stała się prawem naszego myślenia – wielokierunkowego, wielomyślnego, swobodnego i wolnego. Polifonia jest imieniem wolności w tym sensie, że daje wybór nieskrępowany, że ostateczną instancją nie są jej reguły, bo te zawsze można zmienić, tylko potęgą jej brzmienia i potęgą splotów głosów, które tworzą jej sens.

Piotr Orawski był m.in. doskonałym znawcą oratoriów, w tym twórczości Jerzego Fryderyka Haendla. Szerszy życiorys słynnego kompozytora musimy tu pominąć, zaznaczając jedynie, że wyjeżdżając z Anglii do Irlandii w roku 1741 w ciągu trzech tygodni stworzył niemal gotowe dzieło muzyczne – „The Messiah” a Sacred Oratorio. Trzeba to podkreślić – 54 utwory budujące monumentalny koncert napisane w trzy tygodnie. Ciekawostką może być także to, że gdy Haendel czekał na poprawę pogody i możliwość przedostania się do Irlandii, w niewielkim portowym Chester zebrał chór i po raz pierwszy zaprezentował swoje oratorium, czytając w partyturze ostatnie, niezbędne poprawki. Jerzy Fryderyk Haendel miał genialny zmysł komponowania i wiarę, że powstało dzieło miłe Bogu, bliskie ludziom i potrzebne jemu samemu, czego dowiódł choćby tym, że aż do śmierci w roku 1759

osobiście dyrygował wieloma wykonaniami. Dyrygował nawet wówczas, gdy już na starość stracił wzrok. Barokowe dzieło Haendla składa się z trzech dużych części, w których naprzemiennie pojawiają się recytatywy, arie i partie chóralne. Muzykę skomponowano do tekstów z ksiąg Starego i Nowego Testamentu, ułożonych według wyboru dokonanego przez Charlesa Jennensa.

(No.4. Chorus) **And the glory of the Lord** (Isaiah, x1.v.5)

Witold Błazszyk, doktor sztuki muzycznej, dyrygent i pedagog, zawodowo od lat kształcający organistów w Instytucie Szkolenia Organistów przy Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie, społecznie Prezes Stowarzyszenia Kulturalny Komorów, a prywatnie nasz sąsiad i człowiek rozlicznych zalet, został pewnego razu, jak to określa – „sprowokowany” przez dwójkę przyjaciół, Jolę (alt) i Piotra (bas), by może tak w naszym małym Komorowie stworzyć chór, który zaśpiewa „Mesjasza”. Choćby nawet tylko część tego oratorium. Witek to jakby Mały Rycerz z sienkiewiczowskiego „Ogniem i mieczem” – natychmiast dostrzegł wyższy cel tej idei, podjął wyzwanie, przeanalizował zasoby, tj. spojrzął na nas w Komorowie okiem zawodowym i rozesłał wici. Bez przypalania boków przesłuchał tego i owego, a każdy coś tam mu wyśpiewał. I tak oto zwołał pospolite ruszenie, co zaowocowało zebraniem chętnych do przedstawienia kilku chóralnych fragmentów oratorium J.F. Haendla – był maj 2016 roku. Większość osób była wówczas zaskoczona tym spotkaniem - najpierw wprowadzenie organizacyjne, potem zaproszony prof. Witold Kurdwanowski dał wykład na temat muzyki okresu baroku i samego J.F. Haendla, a na koniec mieszkająca w Komorowie Brytyjka Anne-Marie Fabianowska wyjaśniła kwestie wymowy staroangielskiego tłumaczenia wersów biblijnych, do których Ha-

endel skomponował muzykę. Po tym zadano pracę na wakacje i... spotkaliśmy się ponownie we wrześniu. Było nas nieco mniej, ale za to wystarczająco zmotywowanych, by przyjąć choćby zaproponowany rygor cotygodniowych prób. Witek Błazszyk musiał mieć wiarę, że ktoś przyjdzie i że to może się udać. On w to wierzył i chwalał mu za to.

(No. 7. Chorus) **And he shall purify** (Malachi, iii, v.3)

Duża część z nas nie ma wykształcenia muzycznego, w różnym stopniu otarliśmy się tylko o muzykę, a zwłaszcza o śpiew chóralny. Dlatego pierwsze ćwiczenia, szczególnie próby w grupach głosowych – sopran, alt, tenory i basy – to było istne czyszczenie. By dobrze zaśpiewać i współbrzmieć trzeba było nie tylko możliwie czysto emitować właściwy dźwięk, ale też wyczyścić na czas próby głowę z codzienności i spraw wszelakich, a skupić się na zadaniu. Dla samych prób zaś wyczyścić i dopasować kalendarz zawodowy i prywatny. Ci, którzy nawet od lat znali naszego organizatora, nie kryli zaskoczenia – na co dzień brat-łata, tu na ćwiczeniach jako dyrygent nie dopuszczał rozpraszania się, realizował konsekwentnie plan i miał rozpisaną każdą minutę. Mało ganił, raczej pochwalał – tak oto wzbudzał w nas wiarę, że cel jest osiągalny, choć jeszcze daleki. Czasem było zabawnie, np. Witek rzekł ku pokrzepieniu: „Bardzo, bardzo fantastycznie. Dlatego jeszcze raz” (*). A że są i granice mozolnego próbowania, to wynikło innym razem, gdy nasz dyrygent podsumował: „Trzeci raz był lepszy od drugiego, drugi od pierwszego, a czwartego nie próbujemy, bo się zepsuje”.

(No. 9. Air & Chorus) **O thou that tellest...**

Znana, biblijna przypowieść o talentach znalazła w naszym chórze, określonym jako Towarzystwo Śpiewacze „Kulturalny Komorów”,



Chór Stowarzyszenia Kulturalny Komorów śpiewa oratorium „Mesjasz” J.F. Haendla przed Pasterką w Komorowie 24 grudnia 2016 r. (fot. M. Brykalska)

swoje idealne odzwierciedlenie. W tym wypadku starożytna moneta – talent, miała tu dosłowne, współczesne znaczenie. Niektórzy pomnażali i dzielili się swoimi talentami i tym co mieli – jedni pomagali w prowadzeniu ćwiczeń głosowych, drudzy udostępniali swoje domy na próby, a inni dawali konieczne w ćwiczeniach sekcyjnych instrumenty klawiszowe. Ale każdy dla owego polifonicznego splotu dźwięków, dla planowanego zaśpiewania „Mesjasza” w kościele przed Bożym Narodzeniem 2016 wydobył swój talent, oczyścił i pielęgnował, by rozdzielić, pomnożyć, oddać Panu, uradować bliźnich. Witek Błaszczuk powiedział nam w połowie grudnia, że oto odbyliśmy w sumie 58 godzin prób i wszystko musi się pięknie udać. On, dyrygent rozgrzany rozmachaniem rąk, wciąż emanował wiarą sukcesu, a nam jeszcze niełatwo było uwierzyć, bo nawet na ostatnich spotkaniach w komorowskim kościele drżeliśmy z zimna, przytupując do taktu na zmrożonej posadzce. I tuż przed Wigilią nasz ksiądz prałat Andrzej Per-

dziński otrzymał wreszcie dla Parafii zgodę na włączenie gazu po pracach remontowych – lekko zaczęły grzać kaloryfery. Pojawiła się nadzieja – gwiazdka ciepła. A nadzieja i wiara są nierozłączne. To się miało udać.

(No. 12. Chorus) **For unto us a child is born** (Isaiah, ix.v.6)

Opracowana i ćwiczona przez nas pierwsza część oratorium „Mesjasz” dotyczy zwiastowania i narodzin Jezusa Chrystusa. Okres bożonarodzeniowy zatem to najlepszy czas na koncertowanie z tą częścią utworu. Partie chóralne i jedna aria (tu wsparła nas zawodowa solistka, Agnieszka Lipska, mieszkanka osiedla Ostoja) zaplanowane były w oryginalnym, haendlowskim staroangielskim, ale części czytane – recytatywy – miały tłumaczenie na język polski (wykonał je dla nas tłumacz i kantor, Filip Taranienko). Na naszych występach role czytających przyjęli na siebie najpierw zawodowy aktor, Grzegorz Warchoł, potem także nasz sąsiad z Komorowa, Władysław Baksza. Za-

wsze, czy to na głównych próbach, czy na występach, towarzyszyły nam organy – akompaniamentu podjął się znany wszystkim parafianom, zawodowy artysta muzyk, Mateusz Bąkowski, do niedawna kościelny organista.

I nadszedł ten moment. W wigilijną noc sporo osób przyszło na mszę świętą odpowiednio wcześniej zachęcona rozplakatowaną, niecodzienną informacją o chórze mieszkańców Komorowa śpiewających barokowe Oratorium Sacrum „Mesjasz” Jerzego Fryderyka Haendla. Kościółek nasz niewielki, w nim coraz większy tłum ludzi, a nasza trema tylko nieco mniejsza od oczekiwań dyrygenta, śpiewaków, słuchaczy. I zabrzmieliśmy, i wzbiły się głosy.

Oczywiście, że wspomniana trema mogłaby „zjeść” niedoświadczonych artystów, ale nasz dyrygent powiedział na ostatniej próbie przed Pasterką: „... żebyście po pierwsze – wyobrazili sobie choinkę, a po drugie – nie bali się śpiewać”.

Pierwszy, świąteczny popis chóru można obejrzeć w internecie



wpisując w wyszukiwarce „Mesjasz Komorów”.

Po tym emocjonalnym występie nie było czasu na przeżywanie, już zaczynała się Pasterka. Tradycyjnie poprzedził ją cichutki płacz – narodził się Jezus Chrystus, Boże Dziecię. Bóg przyoblekł się w człowieka – to nasza wiara.

(No. 17. Chorus) **Glory to God in the highest** (Luke, ii,v.14)

Zgromadzony potencjał i większą pewnością siebie należało dobrze wykorzystać. Włożona praca dyrygenta i chóru procentowała jeszcze czterokrotnie na chwałę bożą, sławiąc przy tym i Miasto-Ogród Komorów. W ciągu stycznia 2017 odbyło się bowiem swoiste tournee po kilku kościołach, gdzie wykonywaliśmy tę pierwszą część „Mesjasza”, zwykle po wieczornych mszach świętych, a mimo to na koncertach zostawało nadzwyczaj duże grono słuchaczy.

Najpierw był pokamedulski kościół na Bielanych. Warunki iście spartańskie, na balkonie chóru, przy organach, tylko 3 stopnie ciepła. Podziwialiśmy ekwilibrystkę naszego organisty, Mateusza, który zwinęty w kulkę, skostniałymi palcami wydobywał z klawiatury haendlowskie nuty. Ksiądz Proboszcz Wojciech Drozdowicz skrócił kazanie oznajmiwszy tylko, że część drugą, śpiewaną, wygłosi profesor Witold Błaszczak ze swoim chórem z Komorowa. Barokowe sklepienie i krystalicznie zmrożone powietrze poniosło nasz śpiew. Potem zaś, w podziemiach poklasztornych była herbata i bigos oraz mnóstwo emocji – wreszcie mogliśmy się wygadać. A i nasz dyrygent powiedział, co myśli. Myślał pozytywnie, i wierzył, że może być jeszcze lepiej. A wszystko ku czci genialnego kompozytora i na chwałę Pana.

Kolejny koncert, w kościele Najświętszego Zbawiciela przy Placu Zbawiciela w Warszawie, to było inne wyzwanie. Jak w Komorowie, staliśmy znów blisko ołtarza, ale ten kościół jest ogromny, zupełnie inna akustyka. Ksiądz kończąc mszę świętą zapowiedział, że za chwilę znane, XVIII-wieczne oratorium „Mesjasz” zostanie zaśpiewane przez niewielki chór z podwarszawskiego Komorowa.

Podkreślił, że właśnie w takich miejscowościach i parafialnych wspólnotach nieanonimowych mieszkańców łatwiej tchnąć ducha w piękne społeczne inicjatywy. A nasz spiritus movens potwierdził to po chwili efektownie prowadząc nasze dynamiczne chóralne „Wonderful” i „Counsellor”. Możesz to obejrzeć, Czytelniku, wpisując w wyszukiwarce internetowej „Mesjasz Warszawa Towarzystwo Śpiewacze”.

Niezwykła przyjemność koncertowania z chóru zabytkowego kościoła pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła w Pęcicach wiązała się także z ogromnie gościnnym przyjęciem całej naszej grupy w progach tamtejszej plebanii u księdza Proboszcza Grzegorza Jasińskiego. W ustach pozostał niezapomniany smak fantastycznych pączków i faworków wysmażonych przez jedną z parafianek właśnie na tę okazję. Dziękujemy! Tamtego koncertu warto posłuchać w internecie wpisując w wyszukiwarce słowa „Mesjasz Pęcice”.

Kościół w Michałowicach ma bardzo dobre organy. Dlatego tu, w ostatnią niedzielę stycznia, daliśmy koncert z góry, z chóru, a potem jeszcze poprawiliśmy jednym utworem z towarzyszeniem małego klawesynu stając frontem do słuchaczy. Parafianie i ich proboszcz, ksiądz Marek Markiewicz, byli zauroczeni.

Wspomniane, dostępne w internecie, nagrania z Warszawy i z Pęcic oraz przydatne nam nagrania z prób powstały dzięki Marcinowi, naszemu tenorowi i dźwiękowcowi w jednej osobie. Marcin wykorzystał swój sprzęt i zawodowe umiejętności, by śpiew nagrywany w dość trudnych akustycznie warunkach mógł być bez wstydu zaprezentowany szerszej publiczności. Chwała dźwiękom i dźwiękowcom!

Warto też odnotować, że od początku mieliśmy sporą grupę fanów, którzy jeździli na nasze występy nawet kilkukrotnie. Rola takich osób okazuje się być niezwykła – dodają nam skrzydeł, czasem pomagają ratując wręcz życie. Bo oto tuż po koncercie w Pęcicach 22 stycznia jeden z naszych basów nagle załżał. To był niestety zawał serca. Szybka, trafna diagnoza lekarza

z naszego fanklubu, męża jednej z chórzystek, wezwanie karetki i najlepsza opieka do czasu przybycia zespołu reanimacyjnego uratowała Jan-kowi życie. Wierzymy w to i wierzymy, że bas wróci, by wkrótce zaśpiewać z nami „Hallelujah” w drugiej części „Mesjasza”. Dziękujemy Ci, Grzesiu, raz jeszcze dziękujemy.

(No. 21. Chorus) **His yoke is easy** (Matthew, xi.v.30)

Śpiew, a szczególnie śpiew polifoniczny, to na pewno potęża brzmienia i potęża splotu głosów, jak pisał wspomniany już Piotr Orawski, ale to także trud i sporo pracy. Polifoniczne oratorium przy ołtarzu to jednak dla wielu z nas radość i zwielokrotniona modlitwa (w myśl słów św. Augustyna). A swoiste jarzmo i twarde warunki przygotowania się do śpiewania „Mesjasza” dziś wydają się w sumie łatwe i lekkie. Przede wszystkim trzeba mieć wiarę i cel. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że jako nieprofesjonalny chór popełniamy jeszcze liczne błędy, zawsze coś może się nie udać, ale większość z nas wie, że będziemy śpiewać dalej. Ćwiczymy już drugą część oratorium Haendla. Ale jak to będzie, skoro Witek powiedział kiedyś: „Nasza aspiracja sięga w jeszcze większą ciszę” i dodał dla złagodzenia „nie musimy wolumenu pokazywać gigantycznego”.

Gdyśmy w mroźne, styczniowe dni koncertowali z „Mesjaszem”, w dalekiej włoskiej Abruzji nieprzerwanie trwała akcja ratowania kilkudziesięciu osób zasypanych przez lawinę w górskim hotelu w Rigopiano. Człowiek zawałony przez zwały śniegu nie ma zbyt dużych szans – dusi się i zamarza, nawet jeśli nie odniósł fizycznych obrażeń. Liczy się pierwsza godzina. Wiara w to, że ktoś jednak przeżył w zasypanych gruzach hotelu dawała siłę i nadzieję ratownikom. Trzy dni po zejściu lawiny odkopano pierwszą grupę ocalałych, a aż pięć dni po katastrofie uwolniono jeszcze 9 żywych osób. Oni tam mocno wierzyli, że pomoc przyjdzie. To był dramat w górach, ale też świadectwo wiary w takie ludzkie, fizyczne ocalenie. I wysiłek, nadludzkie starania.

Jedna z miłośniczek naszego śpiewania i wielka entuzjastka wszelkich



form chóralnych powiedziała niedawno, że jej bratowa, Wanda, jest ciężko chora. Zdiagnozowano nowotwór. Stan trudny, ale nie bez nadziejny. Nasz koncert w Michałowicach zadedykowano Tobie, Wandziu. Chcemy Ci pomóc, wierzymy, że terapia się uda. Wiedz proszę, że jeden z nas, śpiewaków, tenor Adam, też dopiero co walczył z rakiem. Przez to nawet nieco później dołączył do zespołu, ale jest z nami i śpiewa. Śpiewa, bo trzeba mieć wiarę, a dane nam jarzmo jest lekkie. His yoke is easy.

WOJCIECH (bas) IRMIŃSKI

(* Wykorzystane w tekście cytaty Witka Błaszczyka zostały skrzętnie zanotowane przez Anię (alt) w trakcie prób i chwil po koncertach.

Chór Towarzystwa Śpiewaczego „Kulturalny Komorów”

Dyrygent **Witold Błaszczyk**

Wykonawcy:

Agnieszka Lipska – mezzosopran,

Mateusz Bąkowski – organy,

Grzegorz Warchoń/Władysław Baksza – recytacja

Soprany: Marta Budkiewicz, Katarzyna Łącka, Urszula Madycka, Jadwiga Pietracha, Sylwia Podbielska.

Alty: Agnieszka Biskot, Małgorzata Bryksa-Godzisz, Danuta Irmińska, Anna Madycka, Agata Saniewska, Barbara Zabczyk, Jolanta Żebrecka.

Tenory: Hanna Barlak, Martyna Sójka, Grażyna Wąsowicz, Adam Kulewski, Daniel Koper, Marcin Pilich, Marek Słodkowski.

Basy: Jan Bigoszyński-Łazucki, Marek Biskot, Wojciech Irmiński, Przemysław Matejewski, Grzegorz Nieścier, Grzegorz Sobolewski, Reinhold Utri, Piotr Żebrecki.

Projekt plakatu: Dorota Dziekiewicz-Pilich

Projekt techniczny programu i plakatu: Adam Kulewski



Serdeczne podziękowania dla wszystkich chórzystów za wielogodzinne, wspaniałe i entuzjastyczne wczytywanie się w ten genialny, muzyczny tekst.

Odpowiednio pogłębiony ukłon w stronę naszych solistów Agnieszki Lipskiej i Mateusza Bąkowskiego.

Dla prowadzących próby: Jadzi Pietrachy, Agnieszki Lipskiej, Martyny Sójki, Danusi Kołodziejczyk, Grzesia Sobolewskiego i Marcina Pilicha. Dla Grzesia Nieściera za programy-nagrania do autodydaktyki i Adama Kulewskiego za złożenia tekstów plakatów i programów.

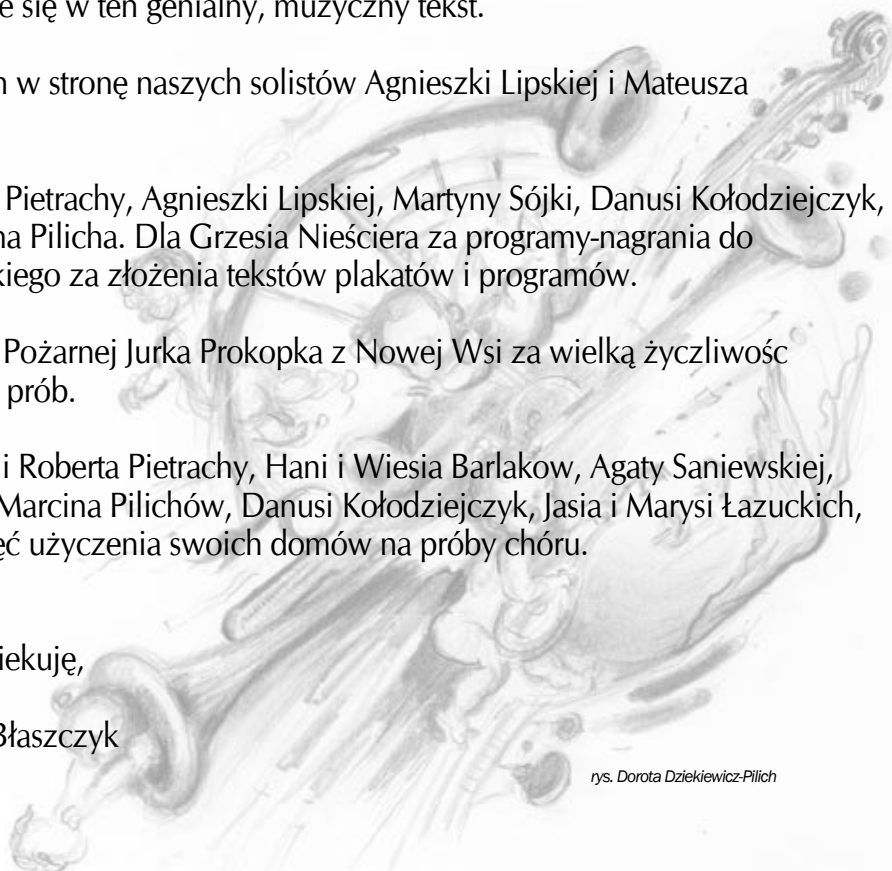
Podziękowania dla szefa Straży Pożarnej Jurka Prokopka z Nowej Wsi za wielką życzliwość i użyczenie Remizy do naszych prób.

Wyrazy wdzięczności dla Jadzi i Roberta Pietrachy, Hani i Wiesia Barlakow, Agaty Saniewskiej, Joasi i Reinholda Utri, Doroty i Marcina Pilichów, Danusi Kołodziejczyk, Jasia i Marysi Łazuckich, Ani i Witka Błaszczyków za chęć użyczenia swoich domów na próby chóru.

Wam Wszystkim serdecznie dziękuję,

Wasz Dyrygent Witold Błaszczyk

rys. Dorota Dziekiewicz-Pilich



*Moje dzieci – gawędy mamy*

Przedwiośnie

Istnieje dziedzina wiedzy, która zajmuje się badaniem przebiegu zmian, które zachodzą w rozwoju zwierząt i roślin na konkretnym obszarze geograficznym w zależności od pory roku. Specjaliści naukowcy z tej dziedziny zwanej fenologią wyróżniają aż 8-9 pór roku, a niektórzy nawet 10 do 12.

Mniej więcej od 1 marca do 10 kwietnia trwa okres zwany zarniem wiosny obejmujący też okres spozdymku – odejścia zimy na dobre. Wiosna powoli budzi się do życia, słychać pierwsze śpiewy sikor i kosów. Kwitną przebiśniegi a pędy wierzby grubieją. Na rozmarzniętych łąkach kwitną zawilce, spotykamy przyłaszczki a w borach – sasanki. Osoby, które są alergikami dotkliwie odczuwają pyłki kwitnących leszczyn. W ogrodach kwitną forsycje, wierzby i modrzewie. To okres godowy dla żurawi i cietrzewi. Tokują również osiadłe ptaki drapieżne takie jak gawrony, bieliki, puchacze i puszczyki. Budzą się zimowe śpiochy: niedźwiedzie i borsuki.

Nasze oczy cieszą powracające bociany. Nisko latające nad ziemią jaskółki zwiastują nadchodzący deszcz. W polu pracują skowronki. Samice ptaków zaczynają składać jaja. Pojawiają się kolejne kwiaty: kaczęńce i pierwiosnki. Na mokrych terenach łąk widać jaskry a na suchych mlecze. Drzewa zielenią się, a głóg pokrywa białym kwiatem. Wreszcie widać młode listki takich drzew jak dęby, lipy czy brzozy. Po zimorodku jaja zaczynają składać bociany i myszołowy. Na świat przychodzą małe łasiczki, tchórze i rysie. Jelenie i sarny nie mają już zimowych barw ochronnych tylko znowu brązowo-popielate. Ożywa mrowisko, robotnice ogrzewają się na słońcu; obok na kamieniach czasami można spotkać jaszczurkę. Tak bardzo zagrożone obecnie pszczoły opuszczają ule. Wkrótce nadejdzie maj. Wiosna rozkwitnie do końca. Nasze oczy będzie cieszył widok kwitnących drzew: bzów, dębów, kasztanowców, sosen, klonów, jaworów. Na łąkach czuć czeremchę i słychać kumkające żaby. Zaloty ptaków osiągają



apogeum. Wspomniany wcześniej noworodek ma właśnie młode piśkłęta. W lasach na świat przychodzą łosie, żubry i jelenie. Ich ojcowie już dawno zrzucili poroże, które można czasami znaleźć w lasach.

Przedwiośnie jest piękną porą roku, warto skorzystać z jego uroków szanując tak bardzo zagrożoną w dzisiejszych czasach zieleni.



AGATA TOMASZEWSKA-
-ANTONIEWICZ

KRONIKA PARAFIALNA

Zmarli Parafianie

Anna Kobylińska
Zdzisław Zieliński
Sabina Łyszkowska
Krystyna Jakubowska
Krystyna Bernadetta Werys
Franciszka Ołowska
Anna Magdalena Szafran
Władysław Makowski
Czesław Antoni Tarnawski
Stanisław Maciej Kwiatkowski

Aleksandra Maria Krzyżanowska
Kazimiera Tworzowska
Wanda Janina Olszak
Zofia Władysława Targosińska
Teresa Małgorzata Mazur
Henryk Szymański
Jerzy Korkosz
Miroslawa Caban
Agata Anna Armińska
Stanisława Żegis

Dzieci ochrzczone w naszym kościele

Fabian Radosław Łodziński
Zofia Maria Feńska
Barbara Anna Kozłowska
Filip Banasiuk
Olgierd Jan Kulik





JEDNO PYTANIE

Zapytam, ale najpierw coś opowiem. I uprzedzam: będzie trochę osobiście. Nie dlatego, żeby czerpać przyjemność ze snucia opowieści o swoim życiu, ale żeby powiedzieć, że czasem nawet wierzący potrzebuje nawrócenia.

Mędrcy podobno mówią, że nie ma głupich pytań – mogą być tylko głupie odpowiedzi. No to pytam. Wierzysz w Boga? Ale tak... naprawdę?

Niby proste pytanie. Przecież to takie oczywiste. Co niedzielę wyznajemy, że wierzymy. Ale mi chodzi o to, czy naprawdę w Niego wierzysz? Czy ufasz, że On jest i że jest Ojcem, Synem i Duchem?

Bo na przykład ja, od dziecka dorastając w katolickich wartościach i tradycjach (cieszę się z tego), wierzyłam, ale bardziej na zasadzie „wiedziała”, że Bóg jest. Nie żebym Go kiedyś widziała albo doświadczyła. Po prostu był częścią mojego myślenia. Przyjęłam Go za pewnik i nie poświęcałam czasu na zastanawianie się. I tak sobie istniał Bóg w odległym Niebie, między gwiazdami, sama nie wiem dokładnie gdzie. Na pewno już nie na Ziemi.

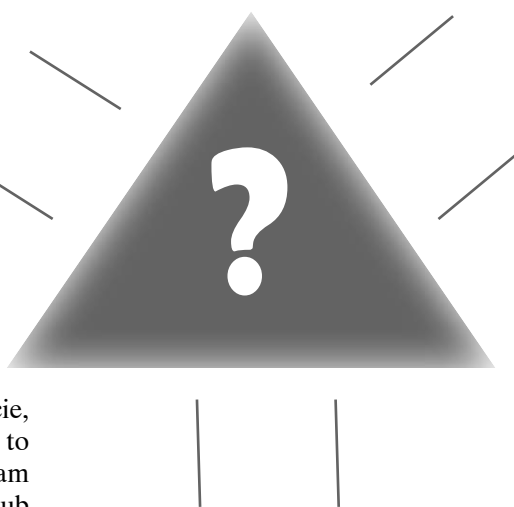
Bóg jako byt, którego istotą jest jego istnienie. Bóg jako Jednia. Bóg jako podmiotowe Ja, które stwarza przedmiotowe Ja. Immanentna, transcendentna i świadoma tożsamość. Jak to mądrze brzmi.

Ale – jak to często bywa – zwykle w którymś momencie życia pojawiają się trudności. W edukacji mówi się, że to tranzyjne wydarzenia, może lekko traumatyczne. Choroby, śmierć. I nagle okazuje się, że mój obraz Boga – dobrego, choć odległego – tak się jakoś dziwnie wypaczył i że życie to chyba jednak takie theatrum mundi, i cuda się zdarzają, ale nie w tym świe-

cie i nie mnie. Bo czyż nie jest oczywiste, że skoro Bóg tak bardzo mnie kocha (a tak mówią w Kościele), to nie powinien dopuszczać cierpienia, którego, wydawałoby się, człowiek nie jest w stanie unieść?

To takie egoistyczne podejście, wiem. Ale wtedy kłótnia i negacja to były jedyne postawy, na jakie mogłam się zdobyć. Później było większe lub mniejsze znużenie religią (bo ileż można się spierać). I krótkie przebłyski świadomości, że to jednak nie tak powinno wyglądać, że kiedyś tak nie było. Ale na próby mówienia mi przez kogokolwiek, że wiara czyni cuda, stawałam okoniem. A czas leciał i niby moja postawa coraz bardziej przypominała tą dawną, ale, nie oszukujmy się, daleka to była droga.

I poszłam na kurs Alpha, który dopiero zaczynał się w naszej parafii. Trudno było mi na niego chodzić. Bo pytania były niewygodne i niełatwe – z serii tych, które zadaje się w sytuacjach ekstremalnych – albo zmuszające do przyjrzenia się rzeczywistości w sposób inny, niż pokazują to media. No i często były osobiste. Męczyło mnie to bardzo. Nie codziennie człowiek zastanawia się nad takimi kwestiami, jakie są poruszane na kursie. Ale ludzie, którzy uczestniczyli w spotkaniach, byli niesamowici – i to był główny powód tego, że się tam pojawiałam. Kurs się skończył. Ja zdążyłam wrócić do codziennego trybu funkcjonowania. Jakiś czas później z chętnymi, którzy ukończyli już kurs, pojechaliśmy na ogólnopolską konferencję o Alphie. Przyznam, że nie oczekiwałam niczego nadzwyczajnego. Ot, pogadają, my będziemy bić brawo. I rzeczywiście, tak jak przypuszczałam, wykłady były ciekawe



i zapadające w pamięć. Ale największe wrażenie zrobiło na mnie coś, czego się nie spodziewałam – uwielbienie. Śpiew i modlitwa. Nie będę pisać, co czułam, ani czego nie czułam. Grunt, że jakoś tak zmieniło się moje dotychczasowe spojrzenie na Kościół, na modlitwę i na działania podejmowane we wspólnotach. Na relację z Bogiem – odkryłam, że w ogóle można jakąś mieć. I że On wcale nie jest tak daleko, jak kiedyś sądziłam. I teraz clue wypowiedzi. Napisałam o tym wszystkim dlatego, żeby wrócić do początku strony i pierwszego pytania. Mogę mówić tylko o sobie, ale zachęcam, żeby każdy sam sobie odpowiedział. Czy wierzysz, ale tak naprawdę? Tak. Czy życie stało się łatwiejsze? Nie. Ale łatwiej jest zmagać się z codziennością. Czy nie bywam smutna? Bywam, jak każdy. Najważniejsze, że autentycznie cieszę się na niedzielną Eucharystię. To nie jest tak, że każdy potrzebuje kursu albo innych działań w Kościele, żeby spotkać się z Bogiem. Bo ja Go spotkałam. I zajęło mi to tyle czasu, innemu zajmie mniej albo więcej. I czy dzięki temu poznałam odpowiedzi na wszystkie nurtujące pytania? Ależ skąd! Ale ważne, żeby szukać i chcieć znaleźć.

SYLWIA PODBIELSKA



Ecce Homo – Oto Człowiek cierpiący

Sługo Jahwe cierpiący
Sprawiedliwy Synu Boży
Baranku niewinny Jezu Chryste

Nadstawiłeś grzbiet bijącym
Nie otworzyłeś ust swoich
Sfora psów Cię otoczyła
Przebito Ci ręce i nogi

Jak wyschnięty korzeń wyrosłeś
Wielu osłupiało na Twój widok
Mąż boleści cierpieniem zmiądzony
Do nagiego Krzyża Cię przybito

Nasze grzechy Ty dźwigałeś
Wzgardzony odepchnięty wyśmiany
Dla nas byłeś chłostany
W Twych Świętych Ranach jest nasze zdrowie
Zbawicielu Świata Bramo Nieba
Czym odpłacimy się Tobie

Tobie Panie Chwała aż po Krańce Ziemi
Tobie Panie Chwała Cześć i Uwielbienie

Zaczerpnięte z Hymnu Golgoty Młodych z 2008 roku – Ogólnopolskiego Spotkania Młodych organizowanego przez Braci Kapucynów w Serpeliach



Adam Chmielewski - Ecce Homo, 1879, olej na płótnie, 146 cm x 96 cm, sanktuarium Brata Alberta w Krakowie

Zbawienie w Chrystusie nie ogranicza się do samego usprawiedliwienia, ale jest zaproszeniem do bliskiej, przyjacielskiej relacji ze Zbawicielem. Relacja ta staje się główną siłą naszej przemiany wewnętrznej. Grzech bowiem pozostawił w naszej osobowości liczne rany i teraz, kiedy się od niego bardzo często odwracamy, potrzeba długiego procesu nie tylko uzdrowienia nas, ale także i naszego postępowania. Podstawowym warunkiem przyjaźni z Jezusem jest pragnienie podporządkowania swojego życia Jego nauce. Nie jest to łatwe. Możemy być jednak pewni, że cierpliwe pielęgnowanie przyjaźni z Jezusem jest w stanie stopniowo wyzwalać nas ze wszystkich chorób duchowych i prowadzić do pięknego owocowania naszego życia. Składa się na nie: wierność codziennej modlitwie, lektura Pisma Świętego, nauka patrzenia na

swoje życie oczami Jezusa, trwanie w łasce uświęcającej i korzystanie z sakramentów świętych.

Kiedy Jezus staje się dla nas Panem i Zbawicielem, całe nasze życie przeradza się w poszukiwanie Jego woli i pragnienie jego wypełnienia. Misterium Paschalne ma dwa aspekty: przez swoją śmierć Chrystus wyzwala nas od grzechu; przez swoje Zmartwychwstanie otwiera nam drogę do nowego życia.

Patrząc z wiarą na krzyż Chrystusa, odkrywamy, że każde cierpienie, a szczególnie to najbardziej bezsensowne i niewinne, staje się drogą zbawienia, gdy cierpiący człowiek zjednoczy się z cierpieniem Chrystusa, bezgranicznie ufając i powierzając się Jego miłosierdziu. Wtedy człowiek odkrywa w swoim cierpieniu wielki dar i łaskę, gdyż zdaje sobie sprawę, że współuczestniczy z Chrystusem w zbawieniu świata, a obecne

cierpienia są tylko drogą prowadzącą do wiecznej radości w niebie: „Skoro wspólnie z Nim cierpimy, to po to, by też wspólnie z Nim mieć udział w chwale. Sądzę bowiem, że cierpienie terażniejszych nie można stawiać na równi z chwałą, która ma się w nas objawić” (Rz 8,17-18).

Co znaczy: mieć udział w krzyżu Chrystusa? To znaczy: doświadczyć w Duchu Świętym tej miłości, jaką krzyż Chrystusa kryje w sobie. To znaczy: w świetle tej miłości rozpoznać swój własny krzyż. To znaczy: w mocy tej miłości wciąż na nowo brać go na ramiona i iść... Iść przez życie, naśladując Tego, który „przecierpiał krzyż, nie bacząc na jego hańbę, i zasiadł po prawicy tronu Boga” (Hbr 12,2).



Sprzedana za paczkę papierosów

W XXI wieku 25–27 mln ludzi cierpi jako niewolnicy. W Europie 67% ludzi zniewolonych wykorzystywanych jest w sex-biznesie, 76% z nich to kobiety, w tym nieletnie. Obecnie zniewolonych zidentyfikowano w 124 krajach. Co roku około 2 miliony ludzi stają się ofiarami handlu, z tego jedną trzecią są dzieci.

Godzina 20:30, Kościół św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu powoli jest wypełniany. W nawach bocznych i przy wejściu wolontariusze rozdają ulotki, tłum ludzi stoi tuż przy tablicy z mapą, uczestnicy zaznaczają miejsca, skąd pochodzą. Patrzę na mapę, w czerwonych kolorach jest praktycznie cała Polska. Tak dużo ludzi z tak licznych miast przybyło na nocne czuwanie z jedną intencją: z modlitwą za ofiary handlu ludźmi.

Sieć Bakhity

Jest to sieć osób z różnych zgromadzeń zakonnych, stowarzyszeń i świeccy, a wszyscy skupiają się w celu zwalczania i zapobiegania handlu ludźmi. Powstała w 2011 roku, przyjmując nazwę od imienia patronki – Józefiny Bakhity, sudańskiej niewolnicy, a później siostry Kanosjanki.

W tę grupę wsparcia angażują się osoby bezpośrednio współpracujące z ofiarami handlu, chcące prowadzić działalność edukacyjno-profilaktyczną poprzez organizowanie konferencji, spotkań, wystaw, projekcji filmów. Ich celem jest uświadamianie społeczeństwa o tak ważnym i tragicznym temacie, jakim jest handel ludźmi, a także pomoc osobom, które go doświadczyły. Do jednej z tych inicjatyw należy właśnie zorganizowany III Międzynarodowy Dzień Modlitwy i Refleksji na temat Walki z Handlem Ludźmi pod hasłem „To są dzieci, nie niewolnicy!”.

Nocne Czuwanie

Handel ludźmi?! W XXI wieku?

Mniej więcej takie miałam pytania, kiedy na spotkaniu swojej wspólnoty, Ruchu Czystych Serc, usłyszałam o Czuwaniu w intencji ofiar handlu ludźmi. Dlatego też postanowiłam się zaangażować i uczestniczyć w tym wydarzeniu. Byłam pewna, że jeśli ten handel w dzisiejszych czasach jeszcze istnieje, to pewnie gdzieś w dalekich, ubogich krajach. Jednak wydarzenie to zupełnie zmieniło mój punkt widzenia.

Czuwanie odbyło się w nocy z 3 na 4 lutego, było ogłoszone z inicjatywy papieża Franciszka. Składało się ono z 3 części: Mszy Świętej pod przewodnictwem biskupa Grzegorza Rysia, Godziny Głosu, w której mieliśmy usłyszeć świadectwa osób, oraz Godziny Uwielbienia przepełnionej modlitwą.

W intencji ofiar odmawialiśmy później wspólnie różaniec malowany piaskiem. Wydarzenie zostało zakończone Koronką do Bożego Miłosierdzia, a także oglądaniem filmu „Nikczemny handlarz dusz”.

Bardzo przejmujące były historie ofiar handlu. Spisane wypowiedzi odczytywali wolontariusze – nie dlatego, że żywi świadkowie wstydzi się, ale dlatego, że w dalszym ciągu ścigani są przez swoich oprawców.

Chcę Wam powiedzieć, że w dalszym ciągu ludzie są w okrutny sposób wykorzystywani, pozbawieni godności. W dalszym ciągu opuszczając swój kraj w poszukiwaniu pracy, można być zatrudnianym na „śmieciowe umowy”, trzymanym w warunkach, których nikomu się nie życzy, wykorzystywanym w pracy, surowo karany za „nieodpowiednie” wykonanie swoich obowiązków chociażby utratą wypłaty czy nieotrzymaniem posiłku. I nigdy nie jest się pewnym, czy uda się wrócić do domu rodzinnego. Usłyszałam historie młodych dziewczyn, które zostały



wykorzystane przez swoich partnerów, wysłane do domów publicznych w celu zarabiania na siebie, spłacania wymyślonych długów, bitych, poniżanych. Historie małżeństw, w których mąż sprzedaje swoją żonę, żeby zyskać pieniądze. Historie dzieci sprzedanych przez swoje matki za niecałą paczkę papierosów.

Zginął ze względu na biesiadników

Na naszych oczach 25–27 mln ludzi cierpi jako niewolnicy. W Europie 2/3 niewolników wykorzystywanych jest w pornobiznesie, w Azji – do przymusowej pracy.

Nie wolno nam w żaden sposób myśleć, że ci ludzie na to zasłużyli bądź sami się do tego przyczynili. Jezus każdego człowieka widzi tak samo, On również był niewolnikiem i mówi nam: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”.

Biskup Ryś w swojej homilii porównał świadectwa, które usłyszeli-



śmy, do życia i śmierci Jana Chrzciciela. Był to święty, który zginął przez... taniec. Jednak winą za to nie można obarczać tylko Heroda czy młodej, tańczącej dziewczyny bądź jej matki. W Piśmie Świętym dokładnie jest powiedziane, że Herod podjął decyzję o ścięciu głowy Jana ze względu na przysięgę i ZE WZGLĘDU NA BIESIADNIKÓW. A nikt z tych biesiadników nie zaprotestował, nie zwrócił uwagi, kiedy jeszcze był na to czas. Jeśli my chcemy modlić się w intencji ofiar handlu, musimy spojrzeć wpieryw na nasze życie, na to czy „przypadkiem” nie klikamy na bezmyślnie strony, czy nie propagujemy tego pornobiznesu, czy nie kupujemy rzeczy jak najmniejszym kosztem – za tym idzie cena ludzkiego życia i ludzkiej godności. Świat znajduje nowe formy niewolnictwa człowieka, często ukryte, często takie, do których my się przyzwyczailiśmy i uważamy, że są normalne. Wydaje nam się, że wszystko jest dla ludzi, tylko, że nie myślimy, że przez to ludzie faktycznie giną.

„Pamiętam”

Pod koniec Eucharystii wybrzmiał apel, prośba o modlitwę. Każda chętna osoba mogła podjąć się „duchowej adopcji”, modlitwy za konkretną ofiarę przemocy. W ramach podjęcia tej adopcji wolontariusze przydzielali opaski-różańce na rękę z napisem „Pamiętam”, który ma symbolizować pamięć o ofiarach handlu. Zobowiązuje to do codziennej modlitwy (w wybranej formie) w intencji wychodzenia z niewoli i uzdrowienia zranień przez cały rok. Drugi egzemplarz danej opaski pojechał do domu chronionych – miejsca, gdzie ofiary uczą się żyć na nowo.

Każdego dnia, odmawiając pacierz, patrzę na przydzieloną mi opaskę. Może na ten moment nie potrafię zrobić nic więcej, niż mówić czy pisać artykułu o tej tematyce, ale wierzę, że gdy zanoszę swoją modlitwę do Boga, On każdego dnia uzdrowia jedną duszę więcej. A ja muszę tylko powtarzać: „Pamiętam”.

KAROLINA DANECKA

Słoneczna Barcelona zimą

Był piękny, śnieżny dzień, kiedy opuściliśmy Polskę, żeby odwiedzić naszych przyjaciół ze Światowych Dni Młodzieży i zwiedzić Barcelonę. Dzięki ŚDM zyskaliśmy wielu znajomych, ale co ważniejsze: kilku bliższych przyjaciół – między innymi Rominę, która ugościła nas w stolicy Katalonii. W Hiszpanii przywitały nas mimo późnej pory wspaniała, ciepła (hip-hip hura!) pogoda i Romi z polską flagą oraz okrzykiem radości. Pierwszą niespodzianką, jaka nas spotkała, była droga do domu. Okazało się, że taxista, który nas wiozł, nie miał pojęcia, jak dojechać na miejsce, dlatego Romina ze swoim GPS-em była niezastąpiona.

Następnego dnia rozpoczęliśmy zwiedzanie słonecznego centrum Barcelony, które zachwycało nas przepięknymi kamienicami zdobionymi kolorowymi mozaikami oraz malowidłami. Szczególnie spodobały nam się kamienice zaprojektowane przez Gaudiego – niesamowicie skromnego hiszpańskiego architekta, który poświęcił ostatnie 14 lat życia na budowę katedry Sagrada Familia na cześć Boga. Największe wrażenie zrobiła na nas Casa Batlló Gaudi – kamienica służąca aktualnie jako muzeum, z niezmiernie ciekawymi balkonami przypominającymi

z wyglądu kości czaszki. Budynek nie był jednak mroczny ze względu na kolorowe mozaiki, odwołujące się do natury (tak jak zwykle czynił to Gaudi). Tego dnia zobaczyliśmy również bardzo znany barceloński targ La Boqueria, gdzie można kupić wszystko: zaczynając od owoców i świeżo wyciśniętych soków, przez przyprawy takie jak szafran, do świeżo złowionego, ogromnego tuńczyka.

Następnego dnia Romina zabrała nas do kolejnego dzieła Gaudiego – parku Güell. Miałyśmy ogromne szczęście, bo przez cały dzień świeciło słońce i czułyśmy się, jakby było lato (przez chwilę nawet się opalałyśmy). Wszechobecne palmy jeszcze bardziej spotęgowały uczucie szczęścia – czułyśmy się jak w raj... Widoki zapierały dech w piersiach. Budowle zaprojektowane przez naszego mistrza były jak z bajki. Przypominały chatki z piernika z baśni „Jaś i Małgosia”. Za nimi rozpościerała się panorama Barcelony – udało się nam nawet dostrzec Sagradę Familii. W parku znajduje się też wspaniała, kolorowa ławka, której oparcie dopasowane jest do krzywizny kręgosłupa człowieka. Niestety od niedawna nie można już na niej siadać. Dzień został dopełniony wysmienitą





kolacją w La Paradeta – restauracji słynącej z fenomenalnych owoców morza, prowadzonej przez rodzinę jednej z koleżanek Romi. Próbowaliśmy między innymi: ostryg, krewetek, ośmiorniczek, kalmarów, sepii i różnego typu muszli. Były niezwykskie! Z ich powodu Ania poważnie zaczęła myśleć o przeprowadzce do Barcelony.

W kolejne dni zobaczyliśmy również kościół Tibidabo, umiejscowiony na pięknym wzgórzu, Łuk Triumfalny i Park Cascada; zwiedziłyśmy katedrę barcelońską i Sagradę Familię (katedra jest według nas duuużo piękniejsza) i obejrzałyśmy spektakl muzyczno-taneczny o życiu świętej Eulalii (patronki Barcelony). Jednego wieczoru udało nam się spotkać z Cristiną i Martą, które także poznałyśmy podczas ŚDM w Polsce.

Pomimo że w Barcelonie

spędziłyśmy aż 7 dni, czas zleciał bardzo szybko. Ostatniego dnia (w Walentynki!) postanowiłyśmy pójść do najstarszej kawiarni w mieście – Escribà – i po raz ostatni pospacerować ślicznymi uliczkami stolicy Katalonii – przede wszystkim po La Rambla, gdzie znajduje się wiele małych sklepików z (nie tylko) pamiątkami. Oprócz tego, że zwiedziłyśmy wiele przepięknych miejsc i poznałyśmy wspaniałych ludzi, wróciłyśmy do Polski odmienione. Jedna z nas zakochała się nie tylko w Barcelonie... Romi już planuje ślub!

ANIA SAWICKA,
ZOSIA UTRI



Na wielkanocnym stole...

Jajka w zielonym wieńcu z wędzonką

Czas Wielkiejnocy jest okresem niezwykle radosnym. Atmosferę tych świąt dopełnia także pora roku, w której je obchodzimy. Wiosna to czas budzącej się do życia przyrody, a co za tym idzie – niezliczonych barw, jakie ukazują się naszym oczom. Kolory królują także na świątecznym stole. W moim domu do najbardziej ozdobnych potraw należą oczywiście tradycyjne mazurki. Obok nich pojawiają się także inne smakołyki, które kojarzone są z tym świętem. Mój zeszyt z przepisami obfituje w coraz więcej ciekawych pomysłów na dania ze szpinakiem. Barwa zielona uznawana jest za symbol życia oraz nadziei, stąd i ona gości podczas wielkanocnego spotkania z rodziną. Poniżej proponuję przepis, w którym jajka zostały przygotowane w ciekawym połączeniu.

Składniki:

6 jajek ugotowanych na twardo
1 cebula

20 dag chudej wędzonki pokrojonej w kosteczkę
5 dag masła do smażenia
1 bagietka
4 jajka
2 garstki liści szpinaku
150 ml mleka
sól, pieprz, mielona gałka muszkatołowa

Przygotowanie:

Ugotować na twardo 6 jaj. Cebulę oraz wędzonkę pokroić w kosteczkę. Smażyć na maśle przez około 5 minut, a następnie odstawić do wystudzenia. Bagietkę również należy pokroić w kostkę i podsuszyć nieco w piekarniku. Następnie przełożyć ją do miski, dodać wystudzoną wędzonkę z cebulą, 4 żółtka, 2 garstki osuszonych i pokrojonych liści szpinaku oraz 150 ml mleka. Wymieszać oraz doprawić do smaku solą, pieprzem, gałką muszkatołową. Na koniec połączyć z ubitą pianą z białek. Połowę ciasta wyłożyć do formy z tu-

leją. Formę natłuścić i posypać bułką tartą. Ułożyć ugotowane jajka wokół formy, przykryć je resztą ciasta i wyrównać wierzch. Piec w piekarniku w 180 stopniach przez około 50 minut. Smacznego!

JOANNA SKRZYPOWSKA



Bł. Honorat Koźmiński Ojcem Duchowym wielu kongregacji Zakonnych

Błogosławiony Honorat Koźmiński to znany zakonnik, kapucyn. Na chrzcie otrzymał aż cztery imiona, ale najbliżsi nazywali go Wacławem. Chciał zostać architektem, studiował w Warszawie. Nagle świat mu się zawalił: został posądzony o spisek przeciwko carowi Rosji i osadzony w ciężkim więzieniu – Cytadeli. Warunki więzienne doprowadziły go do całkowitego zwątpienia o istnieniu Boga. A jednak tam właśnie w pewnym momencie doznał łaski odkrycia Boga na nowo. Wkrótce okazało się, że jest niewinny. Ale był już innym człowiekiem – już nie chciał dalej studiować, myślał o życiu zakonnym. Wstąpił do kapucynów, otrzymał święcenia kapłańskie. Wkrótce okazało się, że jest wspaniałym kaznodzieją, spowiednikiem, a także organizatorem duszpasterskim. Kilka lat aktywnej pracy i kolejny cios: zakaz wszelkiej działalności poza spowiadaniem. To swoiste więzienie stało się dla niego i dla tysięcy ludzi drogą do duchowej

wolności, kolebką nowoczesnych metod duszpasterskich i miejscem niesłyszanej wprost aktywności. Jak to wszystko było możliwe?

Około 1889 roku zwrócił się do Stolicy Świętej o zatwierdzenie zgromadzeń bezhabitowych. W tym samym roku uzyskał aprobatę. Dzięki temu powstało 26 stowarzyszeń tercjarskich, z których na przestrzeni lat uformowały się liczne zgromadzenia zakonne. Ojciec Honorat stał się odnowicielem życia zakonnego i twórcą jego nowej formy zbliżonej do dzisiejszych instytutów świeckich. Poprzez swoje duchowe córki i synów starał się docierać do wszystkich środowisk i odrodzić w społeczeństwie ducha gorliwości pierwszych chrześcijan. Kierował tymi wspólnotami przez konfesjonał i korespondencję, ponieważ rząd carski nie pozwoliłby na formowanie się nowych zakonów, zaś w roku 1864 skasował zakon kapucynów, pozostawiając tylko klasztor w Zakroczymiu. Do dziś istnieją trzy



zgromadzenia honorackie habitowe: felicjanki, powołane we współpracy z bł. Marią Angielą Zofią Truszkowską, serafitki i kapucynki oraz czternaście bezhabitowych, utajonych przed carskim zaborcą.

Zgromadzenia honorackie:

Nazwa	Pełna nazwa	Data założenia	Współzałożyciel(ka)
sluży paralityków	Zgromadzenie Sióstr Sług Paralityków	1873	Feliks Sobański i Izabela Piłsudzka
posłanniczki	Instytut Świecki Służebnic Najświętszego Serca Jezusa – Posłanniczek Maryi (Córki Królowej Naszej od Serca Jezusa)	1874	m. Józefa Chudzyńska
franciszczanki od cierpiących	Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek od Cierpiących	1875	śł. B. m. Kazimiera Gruszczyńska
slużki	Zgromadzenie Sióstr Służek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanej	1878	m. Rozalia Szumska
serafitki	Zgromadzenie Sióstr Córek Matki Bożej Bolesnej	1881	bł. m. Małgorzata Łucja Szewczyk
slużebniczki szpitalne	Zgromadzenie Sióstr Służebniczek Szpitalnych	1881	ks. Władysław Czarnecki
westiarki	Zgromadzenie Sióstr Westiarek Jezusa	1882	m. Józefa Sabina Kawecka
martanki, gospodziarki	Zgromadzenie Sióstr św. Marty	1882	



Nazwa	Pełna nazwa	Data założenia	Współzałożyciel(ka)
słudzy Maryi	Zgromadzenie Braci Sług Maryi Niepokalanej	1883	
sługi Jezusa	Zgromadzenie Sług Jezusa	1884	m. Eleonora Ludwika Motylowska
sercanki bezhabitowe	Zgromadzenie Córek Najczystsze Serca Najświętszej Maryi Panny	1885	m. Paula Malecka
kapłani mariańscy	Stowarzyszenie Mariańskie Świeckich Kapłanów	1886	
marylki	Zgromadzenie Sióstr Najświętszego Imienia Jezus pod opieką Najświętszej Maryi Panny Wspomożenia Wiernych	1887	sł. B. m. Franciszka Maria Witkowska
mariawitki	Zgromadzenie Sióstr Ubogich św. Klary	1887	m. Franciszka Maria Kozłowska
honoratki	Zgromadzenie Małych Sióstr Niepokalanego Serca Maryi	1888	sł. B. m. Aniela Róża Godecka
adoratorki prześlągania	Zgromadzenie Sióstr Adoratorek Prześlągania	1888	
obliczanki	Zgromadzenie Wynagrodzicielek Najświętszego Oblicza	1888	sł. B. m. Teresa od Oblicza Pańskiego Eliza Cejzik
niewiasty ewangeliczne	Zgromadzenie Sióstr Niewiast Ewangelicznych	1889	
córki MB Częstochowskiej	Zgromadzenie Sióstr Córek Matki Bożej Częstochowskiej	1889	
wspomożycielki	Zgromadzenie Sióstr Wspomożycielek Duszy Czyścówych	1889	m. Wanda Olędzka i m. Natalia Nitostawska
córki Jezusa Ukrzyżowanego	Zgromadzenie Sióstr Córek Jezusa Ukrzyżowanego	1890	
niepokalanki bezhabitowe	Zgromadzenie Sióstr Córek Maryi Niepokalanej	1891	m. Ludwika Waleria Gąsiorowska
doloryści	Zgromadzenie Synów Matki Bożej Bolesnej	1893	
pocieszycielki	Zgromadzenie Sióstr Pocieszycielek Najświętszego Serca Jezusowego	1894	m. Zofia Gertruda Krzymowska
mężowie ewangeliczni	Stowarzyszenie Służących Świętej Rodziny	1894	
pasterzanki	Zgromadzenie Służebnic Matki Dobrego Pasterza	1895	
infirmierki	Zgromadzenie Sióstr Infirmerek Najśłodszego Serca Jezusa		

Ostatnie lata Błogosławionego były drogą cierpienia, wzgardy i zapomnienia. Wciągnięty podstępnie w ideologię ruchu mariańskiego w 1907 roku odsunięty został przez biskupów polskich od zarządzania założonymi zgromadzeniami. Zmarł 16 grudnia 1916 roku, przeżywszy 86 lat, z czego w kapłaństwie – 64. 16 paź-

dziernika 1988 roku Jan Paweł II (w 10. rocznicę swojego pontyfikatu) dokonał jego beatyfikacji. Wspomnienie liturgiczne w Kościele katolickim na świecie obchodzone jest w dniu narodzin do życia wiecznego za Martyrologium Rzymskim (16 grudnia). Kościół katolicki w Polsce wspomina bł. Honorata 13 października. Sejm

Rzeczypospolitej Polskiej ustanowił rok 2017 m.in. Rokiem Honorata Koźmińskiego.

TOMASZ RUDNICKI

Źródła:
http://www.honoratki.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=57&Itemid=73
<http://adonai.pl/swieci/?id=64>
<http://breviarz.pl/czytelnia/swieci/10-13a.php3>



Las

Z poznawaniem ludzi jest jak z oglądaniem widoku. Gdy znajdziemy się daleko, wszystkie kontury wydają się podobne, nieistotne osobno, zlewające się w jedną, piękną całość. Im bliżej jesteśmy, tym lepiej widzimy, dostrzegamy więcej szczegółów. Na przykład las. W lesie otaczają nas drzewa. Cała masa najróżniejszych drzew. Te bardzo oddalone są tylko drzewami, które tworzą las, społeczność, ale nie mają dla nas większego znaczenia. Są nieznajome. Proste linie. Puste kontury. Nic więcej. Im mniejszy dzieli nas dystans, im bliższe są naszemu sercu, tym więcej możemy o nich powiedzieć. Zaczynamy rozpoznawać ich nazwy, wyróżniać je spośród tłumu, dostrzegać różnice pomiędzy nimi, charakterystyczne elementy, u tych najbliższych widzimy już najmniejsze szczegóły, a nawet drobne niedoskonałości. Stają się dla nas ważne. Zakorzeniają się w naszym życiu.

To, że możemy poznawać to, co nas otacza, jest piękne. Daje nam wiele

korzyści. Nie czujemy się samotni, ale bezpieczni, możemy liczyć na pomoc czy wsparcie. Jednak, choć wiele drzew stoi zawsze w obranej pozycji, niewzruszonych, są i takie, które uginają gałęzie przy byle wietrze, a ich postawa zależy od tego, w którą stronę wieje. Nie każdemu człowiekowi można zaufać. Zwłaszcza gdy raz już się sparzymy. Tylko najbardziej naiwni zaprzeczają. Otworzymy przed kimś swoje serce, a on nas potem zostawi, odwróci się od nas lub nawet będzie przeciwko. Jesteśmy tego świadomi, dlatego tak ciężko nam się zbliżyć, zrobić pierwszy krok, powiedzieć pierwsze słowo, zaangażować. Nie chcemy zostać wyśmiani, odrzuceni, zdradzeni. Boimy się. I słusznie. Należy się bać. Strach jest bardzo silnym uczuciem, które nie tak łatwo przezwyciężyć. Jest tym, co często w ostateczności popędza nas do działania. Bądźmy odważni i bójmy się. Boimy się przecież też samotności. Bójmy się, bo dzięki temu nie przestaniemy szukać. A gdy już znajdziemy,

podchodzimy. Coraz bliżej. Co nam właściwie zależy? Cóż mamy do stracenia, skoro samotni nic nie mamy? Porażka rozejdzie się echem po lesie, a echo ucichnie. Pozostanie cisza. I my. I las. Szukajmy. Jesteśmy w lesie. Lesie ludzi. Nie wszystkie drzewa są takie same. Kiedyś trafimy na właściwe. Jeśli się nie poddamy. Kiedyś znajdziemy przyjaciela, bratnią duszę, drugą połówkę... Tylko się nie poddawajmy.

Drzewa, choć żyją długo, nie są wieczne. Czas zabiera wszystko. Czasu nie obchodzą sentymenty. Kora robi się krucha, drewno próchnieje, opadają liście. Drzewa umierają. Śpieszmy się, by je poznać. „Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą”.

I my staniemy się nicością. Nie odejdziemy jednak w niepamięć. Nasza częśćka pozostanie w sercach innych. Postarajmy się więc, by coś po sobie pozostawić. I nie umrzeć samotnym.

NATALIA PAJĄK

Pieśń uwielbienia

Wielbi Ciebie
dom cały,
boś Ty Boże
wielki i wspaniały

na krzyżu
cierpiełeś za ludzi
straszne rany
po to tylko,
by każdy z nas
był odkupiony i kochany

właśnie za to
uwielbiam miłość Twą
uwielbiam strumień ten
i dlatego zaniosę tą pieśń
daleko hen

TOMASZ RUDNICKI

W labiryncie

W labiryncie
Ludzkich spraw
Czuwaj nad nami
Panie i spraw,
Aby Twój krzyż
Zawsze był schronieniem dla tych,
Którzy tego schronienia nie mają

W labiryncie
Ludzkich spraw
Czuwaj na nami
Panie i spraw,
Aby Twój krzyż
Zawsze był ukojeniem dla tych,
Którzy coś głęboko przeżywają

W labiryncie
Ludzkich spraw
Czuwaj na nami
Panie i spraw,
Aby Twój krzyż
Zawsze był zbawieniem
dla wszystkich tych,
którzy chcą się cieszyć
wiecznym istnieniem